Dziś w numerze: J. URBANKIEWICZ **Bezpieczeństwo czy fikcja?** ● Z. WOJCIECHOWSKI **Rekin bez zębów miasta** ● R. GLUTH **Kilka uwag o zawodzie belfra** ● F. BĄBOL **Bawełniana saga** ● Z. FIJAS **Cybernetyczni ludzie w Działoszynie** ● **Halo, czy policja?**

odgłosu

MIEJSKA KOMISJA PORZĄDKOWA ODZNAKA M. ŁODZI

25 (518)
22. VI. 1969 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII

Możliwości i nadzieje

JAN KOPROWSKI: Miło mi powitać Państwa na naszej redakcyjnej dyskusji, poświęconej sprawom filmowym. Oczywiście problematyka jest obszerna i nie da się jej wyczerpać w czasie jednego spotkania. Proponuję więc, abyśmy się skupili na dwu sprawach. Po pierwsze: jakie są możliwości powołania do życia Łódzkiego Zespołu Realizatorów Filmowych. I po drugie: Jakie są szanse zorganizowania w Łodzi Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych. Łódź posiada bazę materialną i techniczną, tu realizuje się filmy, które później idą na ekrany naszych kin. Ale Łódź nie jest ośrodkiem twórczości filmowej, choć mieszkają tutaj realizatorzy, pisarze, plastycy, muzycy. Co należałoby zrobić, aby ten stan rzeczy zmienić? Zapraszam Państwa do rozmowy.

PROF. B. W. LEWICKI: Mój punkt widzenia na sprawę jest oczywiście typu prołódzkiego. Sytuacja, w której mam okazję mówić i w której sam się ustawiam życiowo i której służę — polega na przekonaniu (proszę mi wybaczyć trzy porównania) trochę jagiellońskim, trochę oxfordzkim, trochę kazańskim.

Ośrodki wielkiej kultury nie musiały mieścić się w stolicach i wszyscy dobrze wiemy jak ważną rolę odegrał w dziejach kultury zarówno Uniwersytet Jagielloński czy Oxford lub Heidelberg. Filmowa stolica Stanów Zjednoczonych jest również poza granicami Waszyngtonu. Aczkolwiek należy dodać, że w stolicy winny znajdować się ośrodki decyzji, powiedziałbym nawet rynki. Polska jest krajem zbyt małym, by mieć parę rynków sztuki — ale może posiadać parę ośrodków.

Jeżeli chodzi o sprawy filmowe mam wrażenie, że w Łodzi istnieją duże możliwości utworzenia zespołu.

W naszym mieście znajduje się nie tylko przemysł filmowy — mam na uwadze wszystkie trzy wytwórnie i dubbing, ale i ośrodek myśli filmowej — Zakład Filmologii przy Uniwersytecie Łódzkim, który jest jedyny w kraju. Jest w Łodzi także Szkoła Filmowa, której „być albo nie być" zależy od tego jaki uzyska charakter. Mam wrażenie, że jej przyszłość, jej znaczenie dla kultury filmowej jest zdeterminowane tym, czy szkoła sama stanie się ośrodkiem dyskusji, ośrodkiem myśli, promieniującej na zewnątrz — a nie tylko miejscem szkolenia studentów. To zaś

Dalszy ciąg na str. 3

ZBIGNIEW NIENACKI

Z dzienników

20 maja 1967 r.

Mężczyźni mają ciemne garnitury i są w białych koszulach z krawatami, twarze ogorzałe, ale czoła nie przyjemnie białe, jak to u chłopów. Kobiety w odświętnych, choć staromodnych sukienkach, wciąż obciągające je na kolanach, bo nie nawykły siedzieć w fotelach, gdzie tyłek zapada się głęboko, a kolana idą w górę aż pod brodę. Tylko moja żona nieprzyzwoicie odsłania kolana za co gromię ją spojrzeniami, ale chyba nic na to nie może poradzić; nosi za krótką spódnicę. Zresztą, całą moją uwagę w gruncie rzeczy pochłania teczka, którą sztywno trzymam na kolanach. Dookoła mnie wszyscy zdają się rozumieć, dlaczego trzymam ją tak sztywno i z powagą na twarzy, i że leży, a właściwie stoi ona na moich kolanach; gdybym odłożył ją na bok, postawił na przykład obok fotela, uważano by mnie za lekkoducha i niepoważnia. Już za tydzień, cała wieś — jak sądzę — mówiłaby o mnie z lekką przekpinką lub z wyraźnym brakiem szacunku. Uważano by mnie za wariata. Każdy czułby się w obowiązku okpić mnie, oszukać, nabrać lub zgoła dworować sobie ze mnie. Albowiem w tej teczce są pieniądze. Duże pieniądze. Zarobione — jak mówiłem — ciężką, wieloletnią pracą, zdobyte kosztem wielu wyrzeczeń. Więc jeśli prawdą jest, że zawarty jest w nich mój pot, powstały one z mego znoju i utrudzenia, to właśnie tak sztywno będę trzymał tę teczkę na swoich kolanach, obejmując ją dwoma rękami jakby w lęku, że za chwilę zmieni się w ptaka, który odleci przez półotwarte okno, w majowe rozkwitające bzy. Rozumiem to, ba nawet czuję podobnie i palcami mocno ściskam tę teczkę. A dotyk chropawej skóry i świadomość, co ona kryje, budzi we mnie chwilami przyśpieszony rytm serca, powoduje nieznane mi dotąd uczucie wewnętrznego drżenia i napięcia. Nigdy przecież nie trzymałem w ręku aż tyle pieniędzy, i to własnych. No, część jest pożyczona, ale to nie ważne, za rok będę je musiał zwrócić ZAIKSowi, temu wielkiemu pocieszycielowi pisarzy. Pieniądze? No cóż, chyba zawsze je lekceważyłem, szastałem nimi na lewo i prawo, zaspokajałem nimi swoje zachcianki. Ale w tej chwili jest inaczej.

Dalszy ciąg na str. 8

ŚWIATA

Przedwakacyjny okres wypełniony jest wielu ważnymi wydarzeniami międzynarodowymi. A więc przede wszystkim światowa narada partii komunistycznych i robotniczych w Moskwie, na której do niedzieli głos w dyskusji zabierali przedstawiciele 60 partii. Ale i inne wydarzenia. Z ostatniego tygodnia w tej części mamy do odnotowania: utworzenie Tymczasowego Rządu Rewolucyjnego Republiki Wietnamu Południowego. II turę wyborów prezydenckich we Francji oraz oficjalną wizytę premiera Cyrankiewicza w Czechosłowacji.

Jak Czytelnikom wiadomo — toczące się w Paryżu czterostronne rozmowy w sprawie Wietnamu nie przyniosły dotychczas żadnego rzeczywistego postępu. 10-punktowy program FWN i 8-punktowy Stanów Zjednoczonych, będący odpowiedzią na pierwszy z wymienionych, różnią się w istotny sposób. Mogłyby jednak być podstawą konkretnej dyskusji, gdyby nie upór Sajgonu, który sprzeciwia się de facto przywróceniu pokoju i regulacji na tej drodze wietnamskich spraw.

Nixon, podirytowany podobno tą obstrukcyjną działalnością reżimu sajgońskiego, wybrał się na wyspę Midway, aby spotkać się z marionetkowym prezydentem — Thieu. Oczywiście, w większym stopniu był to gest wobec zniecierpliwionej opinii publicznej niż gotowość uczynienia kroku naprzód. Przebieg spotkania w pełni potwierdził tę opinię. W powodzi słów, jakie zawiera końcowy komunikat z rozmów, znalazł się tylko jeden konkret — zapowiedź wycofania z Wietnamu Płd. aż... 25 tys. żołnierzy amerykańskich.

Najlepszym komentarzem do rozmów na wyspie mogą być słowa Thieu wypowiedziane na konferencji prasowej: „Nie będzie rządu koalicyjnego, ani gabinetu pokojowego, ani rządu przejściowego, ani rządu pojednania". Na tejże konferencji zapowiedział on surowe kary dla tych, którzy opowiadają się za koalicją lub rozpowszechniają pogłoski o możliwości jej akceptowania.

Jednakże wtedy, kiedy Thieu wykrzykiwał, że w Wietnamie Płd. nie będzie gabinetu pokoju — taki właśnie powołany został do życia. Obradujący w dniach 6—8 czerwca zjazd przedstawicieli społeczeństwa południowowietnamskiego zdecydował o utworzeniu Tymczasowego Rządu Rewolucyjnego, który ogłosił swój program działania, sformułowany w 12 punktach.

Jeden z nich wyraża gotowość rządu natychmiastowego rozpoczęcia konsultacji z siłami politycznymi, reprezentującymi różne warstwy ludności i różne tendencje polityczne, a opowiadającymi się za pokojem, niepodległością i neutralnością, w sprawie utworzenia rządu koalicyjnego. Zadaniem jego byłoby przygotowanie powszechnych wyborów. Wyłonione w ten sposób zgromadzenie opracowałoby demokratyczną konstytucję.

Tymczasowy Rząd Rewolucyjny w pierwszych dniach uznany został przez 15 krajów. Również Polska postanowiła nawiązać z nim stosunki dyplomatyczne na szczeblu ambasadorów. Powołanie tego rządu będzie mieć duże znaczenie dla przyszłości południowego Wietnamu.

Jak powiedzieliśmy powyżej — drugim wydarzeniem tygodnia są wybory prezydenckie we Francji, a ściślej ich druga tura.

Zwycięstwo Pompidou nad Poherem było przesądzone zanim jeszcze 15 czerwca wyborcy udali się do urn. Przed dwoma tygodniami jego przewaga nad Poherem wynosiła 4.600 tys. głosów (przypomnijmy, że Poher zakwalifikował się do II tury większością zaledwie 500 tys. głosów, uzyskaną nad kandydatem Francuskiej Partii Komunistycznej — J. Duclos). Decyzja FPK, po raz pierwszy w skali kraju nawołująca do wstrzymania się od udziału w głosowaniu w II turze, a podyktowana brakiem politycznej alternatywy, w pewnym sensie umocniła pozycję Pompidou.

Nic przeto dziwnego, że przy niewysokiej frekwencji wyborczej uzyskał on około 58 proc. głosów (de Gaulle w 1965 r. 55,19 proc.), pokonując zdecydowanie kandydata centrum. A więc Francja na fotelu prezydenckim ma gaullistę. Gaullista jednak, choćby Pompidou, to nie to samo, co de Gaulle. Z zainteresowaniem więc obserwować będziemy kształtowanie się francuskiej polityki.

I trzecie wydarzenie tygodnia — polsko-czechosłowackie rozmowy w Pradze i Bratysławie, prowadzone na szczeblu premierów. Wagę trzydniowych rozmów określają słowa prem. Cyrankiewicza, wypowiedziane po powrocie do Warszawy: „byliśmy całkowicie zgodni co do wszystkich problemów, zarówno międzynarodowych, jak i dotyczących naszych wzajemnych stosunków". Jeszcze nie tak dawno zdanie takie nie mogłoby być wypowiedziane.

Komunikat o wizycie zapowiada dalsze rozszerzenie i wzbogacenie współpracy we wszystkich dziedzinach, w tym także politycznej.

Nie powtarzając treści komunikatu zwróćmy uwagę Czytelników na pełne poparcie Czechosłowacji dla naszej propozycji zawarcia z NRF układu o ostatecznym charakterze granicy na Odrze i Nysie. Komunikat wyraża przekonanie, że byłby to doniosły wkład do normalizacji stosunków między NRF a krajami socjalistycznymi.

W. SŁAWSKI

JERZY URBANKIEWICZ

Bezpieczeństwo czy fikcja?

Łódź ma 53 tysiące pojazdów własnych, codziennie zaś znacznie, choć trudna do uchwycenia powódź pojazdów obcych przepycha się przez siatkę wciąż jeszcze ciasnych ulic. Więc świadomość, że wszystkie one zatrzymują się za naciśnięciem pedału hamulca ma dla każdego z nas istotne znaczenie. Czy idealny ten stan da się osiągnąć od razu? — Raczej nie. Ale choćby jedno przymusowe badanie rocznie — to już więcej niż ocena na oko.

Niestety problemy komunikacji w tym, tak tradycyjnie trudnym mieście nie ograniczają się do problemu sprawności technicznej.

Jeżeli zgodnie z fraszką Sztaudyngera wszystko umieszczono na Piotrkowskiej, to również znaczna część komunikacji odbywała się i — pomimo pewnych zmian — odbywa się po tej ulicy zaprojektowanej i zabudowanej w pierwszej połowie tamtego stulecia. Owszem, współczesne nam idee organizacji ruchu narzucają schemat zmian. Ale gdzie ich realizacja?! Ponieważ — jak wiadomo — największa część ruchu odbywa się w kierunkach zgodnych z biegiem ulicy Piotrkowskiej, w Planie Urbanistycznym znalazły się ciągi, których zadaniem ma być jej odciążenie. Niestety, choć sama zasada takiej przebudowy miasta nie budzi niczyich sprzeciwów, choć jest ona z roku na rok planowana, choć przyznano na ten cel fundusze, choć wreszcie dla każdego widoczne są zmiany w wyglądzie, szerokości, jakości i nawierzchni naszych ulic, — żaden z ciągów nie został do końca zrealizowany. Dlaczego?

Przyczyna tkwi chyba w braku koordynacji pomiędzy zainteresowanymi instytucjami. Mianowicie Wydział Komunikacji RN i Zespół Komunikacyjny Miejskiej Pracowni Urbanistycznej opracowały listę kolejności potrzeb. Za najpilniejsze uznano np. ciągi: Żeromskiego — Al. Politechniki, Zachodnia — Kościuszki, czy też ciąg wschodni biegnący z grubsza po ul. Przędzalnianej. I w planie każdego roku te najważniejsze inwestycje, które rozwiążą niektóre problemy sprawnej komunikacji i bezpieczeństwa ruchu w Łodzi, umieszczane są na początku spisu liczącego kilkadziesiąt pozycji. Ale oto przychodzi czas realizacji. Oczywiście te najważniejsze pozycje nastręczają najwięcej trudności, bo wymagają wyburzeń, bardziej skomplikowanej dokumentacji, większego wysiłku ze strony przedsiębiorstwa budującego. I oto ujawnia się różnice w kategoriach myślenia. Wydział Komunikacji i Zespół Komunikacyjny chcą usprawnienia komunikacji. Wydział Gospodarki Komunalnej i Zarząd Dróg mają na uwadze wykonanie planu. A plan łatwiej jest wykonać, pokrywając po prostu asfaltem ulice boczne, gdzie się w ten sposób znakomicie ułatwia dowóz mleka do sklepu spożywczego i węgla do starych kamienic. Stąd też ulica Zachodnia, pomimo olbrzymiej pracy, którą w jej przerobienie włożono, pomimo wielkich nakładów na wyburzenia wciąż nie stanowi drogi atrakcyjnej dla kierowców, ale mamy okazję do zadowolenia, że bardzo dużo ulic o czwartorzędnym znaczeniu dla komunikacji ma gładkie nawierzchnie: Buczka, Włókiennicza, Hutora, Lipowa i wiele, wiele innych.

Czy odkładając wydatek na wyburzenia na kilka lat coś się u zyskuje? — Nic poza opóźnieniem rozwiązania komunikacyjnych bolączek Łodzi. Bo co do wyburzeń tych — decyzje powzięto i przeznaczono na nie pieniądze. A gra idzie nie tylko o estetykę miasta i wygodę komunikacji. Ale również o to, by chronić życie i zdrowie ludzkie. W roku ubiegłym zginęły w wypadkach drogowych na ulicach Łodzi 53 osoby. 1605 osób odniosło rany. Na szczęście zmniejszono ilość nieszczęść wśród dzieci — to zasługa akcji „STOP — DZIECKO NA DRODZE". Ale wszelkie akcje, wzmożona czujność milicji, dodatkowe znaki drogowe, stukanie w nie malowane drewno — to działania, które mogą być zastąpione przez lepszą organizację ruchu, a ta wymaga dokończenia zaczętej przebudowy.

Ale przebudowa może niewiele pomóc, jeżeli prowadzona jest dawkami trzy razy dziennie po łyżce stołowej, co w języku urbanistów i specjalistów od budowy dróg nosi nazwę etapowania. W założeniu ma to być wykonanie części łatwiejszej od razu, trudniejszej później.

Była kiedyś potworna ulica Zgierska i miała szerokości około 9 metrów. Zaplanowano dwie jezdnie o szerokości 7 metrów każda. Ponieważ drugą jezdnię zostawiono do realizacji w drugim etapie, a jego daty nie wyznaczono, skutek jest taki, że z chwilą przebudowy nawierzchni Zgierską zwężono o 1 metr czyli miastu przysporzono jeszcze jeden kłopot, zamiast się takich kłopotów pozbyć. Od kilku lat Zgierska jest jedną z najniebezpieczniejszych ulic, szybkość na niej ograniczono do 40 km/godz, zatrzymywać się na niej nie wolno, ale transport musi mieć zezwolenie za trzymywania się, bo jakoś to mleko i piwo trzeba dowieźć. W kronikach milicyjnych widać inny bardziej tragiczny aspekt tej absurdalnej sprawy.

Jak dziwne dzieją się w tej dziedzinie rzeczy, widać również po dziejach ulicy Nowo-Towarowej, która łączy ul. Limanowskiego ze Srebrzyńską. Ulica ta, równie wąska i niewygodna jak wszystkie inne w tej okolicy została na pewnym odcinku przebudowana dwa lata temu. Ale dotąd nie została oddana do użytku, bo nie ma komu uprzątnąć gruzu i dokonać niektórych aktów ostatniej kosmetyki.

Sprawą istotną jeżeli chodzi o organizację ruchu w Łodzi jest system sygnalizacji świetlnej. Bardzo często trafia kierowca na taką asynchronizację świateł na Piotrkowskiej, że pomiędzy pl. Wolności a Żwirki napotyka sześć razy czerwone światło. Pulsujące, żółte światło na rogu Traugutta niczego nie wnosi, bo zmusza ono do tej samej reakcji, do jakiej zmusza widok skrzyżowania. Pulsujące światła na skrzyżowaniu Zachodniej i Ogrodowej niczego nie usprawniają. Każdy kierowca jadący w tym kierunku po Północnej, chętniej skręci w lewo w Nowomiejską, bo tam się pewniej czuje. Na skrzyżowaniu tym warunki pewności i bezpieczeństwa wprowadza dwóch jednocześnie działających milicjantów — Wydział Kontroli Ruchu rzadko chyba może sobie na taki luksus pozwolić.

Jakimi więc sposobami da się w tym ciasnym mieście zwiększyć przelotowość i bezpieczeństwo? Czy istnieje system sygnalizacji świetlnej, który nie będzie miał braków obecnego? Może coś pomogą projekty przewidziane na najbliższą przyszłość.

Pierwszy z nich to likwidacja nieoficjalnego parkingu na Piotrkowskiej. Każdy to widzi, że zatrzymująca się tam taksówka staje już w drugim, licząc od chodnika, rzędzie. Dla tego tak się dzieje, że charakter handlowo usługowy Piotrkowskiej skłania wielu kierowców do zatrzymywania się tutaj. Wiele samochodów stoi tam godzinami i dniami. To zostanie zlikwidowane. Zakaz parkowania dłużej niż 20 minut ma sprawę załatwić.

Drugi projekt, to wprowadzenie jednego kierunku na ulicach Więckowskiego — Jaracza i Próchnika — Rewolucji 1905 roku. A później podobna operacja ma być dokonana w stosunku do ulic Piotrkowskiej i Sienkiewicza. Zapewne są to posunięcia rozpaczliwe, choć kto wie, czy w sytuacji aktualnej nie konieczne. Zwłaszcza okres początkowy obfitować będzie w kłopoty. Wydaje się, że w ich uniknięciu lub zmniejszeniu znakomicie mogłoby pomóc stosowanie tzw. „znaków poziomych", tj. znaków malowanych na jezdni.

I wreszcie ostatnia ze spraw, które w związku z bezpieczeństwem i wygodą komunikacji łódzkiej wypada poruszyć, to zachowanie się użytkowników dróg.

Brak dyscypliny wśród pieszych i kierowców ma w Polsce swoją smutną sławę. Niestety, dość często występuje jeszcze inne zjawisko, zjawisko analfabetyzmu w stosunku do obowiązujących przepisów ruchu. A doświadczenie uczy, że znajomość tych przepisów jest odwrotnie proporcjonalna do posiadanej kategorii prawa jazdy. Najlepiej orientują się w kodeksie motocykliści i amatorzy-kierowcy samochodów osobowych, najgorzej posiadacze praw jazdy kategorii pierwszej. Wynika to z dwóch przyczyn. Amatorzy reprezentują na ogół wyższy poziom intelektualny, a oprócz tego — kierowcy niższych kategorii otrzymali swoje prawa jazdy stosunkowo niedawno, po przejściu wymaganych kursów i zdaniu egzaminów. Najwyższe kategorie praw jazdy przypadły na ogół tym kierowcom, którzy jeżdżą od 1944, a nawet 1939 roku i otrzymali dokumenty na zasadzie wymiany, bez sprawdzenia ich wiadomości. Zdarzyło się, że taki jubilat został skierowany na ponowny egzamin za naruszenie przepisów. Dowodził, że nie może on nie znać kodeksu, bo przecież przez tyle lat nie spowodował wypadku. Pozwolono mu jechać, ale dwa samochody dokonały w ciągu dwóch kolejnych dni dyskretnej kontroli i każdego dnia stwierdzono, że naruszał przepisy po kilkanaście razy. Dlaczego więc nie spowodował dotąd wypadku? Wypływa to na pewno stąd, że na ogół do zderzenia dochodzi wtedy, kiedy w określonym miejscu, dokładnie o tym samym czasie znajdą się dwaj nie dość ostrożni, lub niedokształceni kierowcy. Tak jest bez względu na to, że stopień winy u jednego z nich może znacznie przekraczać stopień winy drugiego. Otóż nasz jubilat miał szczęście, że jeżdżąc „na wyczucie", nie natknął się na drugiego, takiego samego.

Łodzianie w karykaturze

JANUSZ KŁOSIŃSKI
aktor, reżyser, dyr. Teatru Nowego
Rys. T. Rynkiewicz

W NASTĘPNYM NUMERZE „ODGŁOSÓW":

- **JARMARK W POZNANIU**
- **ŻYCIE NOCNE W ŁODZI-MIEŚCIE**
- **BUKARESZT — PIĘKNE MIASTO**
- **TAJEMNICE DYPLOMATYCZNYCH SEJFÓW**
- **OPOWIADANIE KRYMINALNE PT. „OKALECZONA RĘKA"**
- **WIELKI KONKURS Z NAGRODAMI — SZCZEGÓŁY W NAJBLIŻSZYM NUMERZE**

Możliwości i nadzieje

Dalszy ciąg ze str. 1

będzie możliwe, gdy szkoła z jednej strony znajdzie w mieście partnerów do dyskusji, z drugiej zaś strony stanie się czynnikiem zapalającym te dyskusje.

Dla mnie istnienie Łodzi jako drugiego ośrodka filmowego jest nie tylko konieczne ale jest faktem. Idzie tylko o to, by filmowe placówki łódzkie zostały odpowiednio wyeksponowane i wykorzystane dla tworzenia ogólnej kultury naszego miasta i równocześnie sztuki filmowej. Jest to z pewnością możliwe i do zrealizowania przy dużym i ciepłym poparciu władz i prasy.

RYSZARD STEFAŃCZYK: W roku bieżącym mija 25 lat istnienia kinematografii w Polsce Ludowej. Jednakże ten odcinek życia kulturalnego nie jest dotąd uporządkowany. Od roku 1958 z korzyścią dla polskiej kultury dokonał się proces decentralizacji życia kulturalnego, zarówno w dziedzinie teatru, plastyki, muzyki. Natomiast film jest scentralizowany. Zdaniem Naczelnego Zarządu Kinematografii dokonanie jakiegokolwiek podziału na ośrodki jest niemożliwe. Tymczasem taką konieczność dyktuje po prostu życie. W Łodzi np. nasuwa się wyraźna potrzeba ścisłego powiązania filmowych placówek produkcyjnych z ośrodkami myśli naukowo-artystycznej.

Spójrzmy na fakty.

W Łodzi mamy ośrodek myśli filmowej — Zakład Filmologii przy UŁ, mamy unikalne, jedyne w Polsce przedsiębiorstwa i instytucje bez których film by nie istniał, bazę produkcyjną. Wytwórnia Filmów Fabularnych, która powstała w Łodzi, była pierwszą w kraju. Aby mogła się rozwijać trzeba było inwestować. Miasto wiele zrobiło zarówno dla Wytwórni Filmów Fabularnych jak i Oświatowych — chociaż inwestycje na skutek centralizacji nie leżą w gestii władz miejskich. To samo dotyczy Wytwórni Kopii Filmowych. Również nasze władze miejskie swoimi decyzjami rozstrzygnęły istnienie Szkoły Filmowej w Łodzi.

Podstawowy argument, który miał posłużyć jako pretekst do przeniesienia szkoły z naszego miasta — że egzystuje ona w katastrofalnych warunkach — został wytrącony z ręki opozycjonistów decyzją oddania do dyspozycji szkoły całego budynku licealnego — choć i tu inwestycje nie leżą w naszej gestii.

Warto dodać, że o ile projekt utworzenia w Łodzi siedziby Stowarzyszenia Filmowców Polskich dojdzie do skutku — władze miasta znów pospieszą z pomocą.

Nie wolno także zapominać o tym, że mamy w Łodzi trzecie co do wielkości środowisko literackie. Środowisko muzyczne może śmiało konkurować z twórcami stołecznymi. Mamy w Łodzi liczące się w kraju środowisko plastyczne, aktorskie, reżyserów i operatorów filmowych, brakuje jednak istotnego ogniwa jakim byłby zespół filmowy.

Jak do tej pory kontakty: twórcy filmowi a nasze miasto — układają się tylko na płaszczyźnie załatwianych przez nas spraw natury organizacyjno-administracyjnej. A nie tylko o takie kontakty nam chodzi. Idzie o większy i bardziej liczący się wkład naszego miasta w sztukę filmową, jej rozwój — a tym samym i wyższą rangę kulturalną Łodzi.

Nie mogę sobie odmówić ochoty podzielenia się pewnym spostrzeżeniem. Otóż w filmie „Ostatnie dni" widzi się wielu łódzkich aktorów: Pilarskiego, Kłosińskiego, Szewczyka, Antczaka. To cieszy. Ale wszyscy grają role szeregowców. Nie chcę być złośliwy i nie będę uogólniał...

Jestem rad, że „Odgłosy" zorganizowały to spotkanie, na którym możemy przedyskutować pilne potrzeby Łodzi w dziedzinie sztuki filmowej. Ale sama dyskusja jeszcze niczego nie załatwi. Tu jest potrzebna permanentna akcja publicystyczna, bo o potrzebach miasta trzeba nieustannie przypominać. Taka rozmowa winna się toczyć aż do skutku.

ANDRZEJ MAKOWIECKI: Władze miasta zrobiły wszystko by stworzyć w Łodzi odpowiednią bazę dla filmu fabularnego i oświatowego. Dopóki jednak będziemy mieli na miejscu tylko bazę techniczną — to będziemy się czuli tak jak pisarze posiadający drukarnię dziełową a nie posiadający wydawnictwa. Przez cały czas będziemy tylko robotnikami kultury filmowej a nie jej twórcami.

W tej sytuacji nieuchronną koniecznością jest utworzenie w Łodzi zespołu filmowego. Tę potrzebę należy unaocznić przez prasę i radio. Wydaje mi się, że nie jest to sprawą tylko Łodzi — ale i innych miast poza Warszawą.

Dlatego też nie powinniśmy traktować tego zagadnienia z pozycji partykularnych, nie chodzi bowiem o rozpętywanie wojny o dodatkowy „kęs filmowy" — ale o postawienie problemu na płaszczyźnie decentralizacji.

JADWIGA PYCZEWSKA: Zgadzamy się z tym, że Łódź posiada poważne filmowe zaplecze produkcyjne. Nie ulega również wątpliwości fakt, że łódzkie środowiska artystyczne mają wysokie możliwości twórcze. Natomiast do tej pory nie została omówiona sprawa chyba najistotniejsza: problem możliwości łódzkich twórców w aspekcie stworzenia indywidualnego, „łódzkiego" programu artystycznego, który by gwarantował odrębność zespołu od już funkcjonujących. A właśnie ten indywidualny profil — zdaniem ministra Wiśniewskiego — mógłby uzasadnić sens zorganizowania w Łodzi zespołu filmowego. I chyba w tym kierunku winna potoczyć się dalsza dyskusja.

RYSZARD STEFAŃCZYK: Niewątpliwie zespół, który by w Łodzi powstał winien posiadać swoją odrębność, wysuwać nowe propozycje. Miasto może pomóc w stworzeniu warunków materialnych, technicznych i organizacyjnych. Jednakże na temat spraw artystycznych winni zabrać głos sami twórcy. Sądzę, że jeśli ci, którzy są związani z miastem mają coś do powiedzenia — a na pewno mają — nic nie stanie na przeszkodzie powstania w Łodzi zespołu filmowego.

PROF. B. W. LEWICKI: Proponowałbym założenie przy szkole filmowej zespołu realizatorskiego, swego rodzaju „kliniki" dla młodych twórców, gdzie mogliby oni próbować swych sił. Do tej pory większość ludzi kończących szkołę ginęła niejako „we mgle". A wraz z tym nie była wykorzystywana ich świeżość spojrzenia na sprawy filmu, ich entuzjazm i zapał twórczy. Stworzenie takiego ośrodka pracy twórczej przy szkole — niewątpliwie może stanowić poważną szansę dla jej dalszego rozwoju jako ośrodka kulturotwórczego. Równolegle dla twórców już doświadczonych i posiadających sukcesy artystyczne możliwość pracy w takim zespole mogłaby stać się niebagatelnym atutem w pozyskaniu ich dla pracy w szkole.

Wrocławski Teatr Pantomimy Henryka Tomaszewskiego, który ostatnio występował gościnnie w Łodzi. Na zdjęciu scena z „Bagaży".

Fot. G. Wyszomirska

KONRAD FREJDLICH: Kontynuując „medyczne" porównanie p. prof. Lewickiego nie rozminiemy się z prawdą konstatując, że w Łodzi jest budynek szpitalny, jest laboratorium, jest personel, ale po diagnozę jeździ się do Warszawy i ordynatorzy są też w Warszawie. A w tej sytuacji trzeba stwierdzić, że mimo szeroko rozbudowanej filmowej bazy produkcyjnej mamy do czynienia ze zjawiskiem anormalnym i niezbyt zdrowym. Wszyscy tu zgodziliśmy się przecież, że w mieście nazywanym stolicą polskiego filmu brak podstawowego ogniwa, jakim niewątpliwie byłby zespół realizatorów, fabularystów. Możemy wprawdzie pocieszać się, że myśl twórczą rodzimego wylęgu kształtują istniejące tu wytwórnie filmów krótkometrażowych ale sposób rozpowszechniania tej interesującej produkcji w znacznym stopniu ogranicza jej społeczny rezonans. A w związku z tym sprawa powołania do życia w Łodzi zespołu realizatorów, fabularzystów staje się niezwykle ważna i pilna. Film fabularny jest bowiem, że użyję modnego słowa, ogniwem wiodącym, rozstrzygającym dla całokształtu twórczości filmowej. W dużych ośrodkach kulturalnych takich jak Łódź, jak Kraków, czy Katowice zespoły twórców filmowych mogą przyczynić się do integracji wszystkich środowisk twórczych, które aktualnie rzadko ze sobą współpracują. W filmie przecież obok reżysera i operatora ważny jest wkład pisarza-scenarzysty, kompozytora-muzyka, plastyka-scenografa, ważny jest udział aktorów. Postulując więc powołanie zespołu realizatorów filmowych w Łodzi nie powinniśmy tracić z oczu innych pozawarszawskich ośrodków kulturalnych, które także mogą się przyczynić do uzdrowienia atmosfery polskiego filmu wnosząc wiele nowych twórczych propozycji.

JAN KOPROWSKI: Nie odpowiedzieliśmy sobie na wszystkie postawione na początku kwestie. Ale przecież sprawa jest otwarta i na naszej dyskusji się nie zakończy. Zapraszamy do wypowiadania się na łamach naszego pisma reżyserów filmowych i ludzi sztuki. Państwu dziękuję za udział w dzisiejszej rozmowie.

Od redakcji

W wyniku akcji publicystycznej „Odgłosów" zapoczątkowanej artykułem Andrzeja Makowieckiego pt. „Bajka o polskim Hollywood" („Odgłosy" nr 9 z dnia 2 marca 1969) oraz wywiadem jakiego redakcji udzielił Wiceminister Kultury i Sztuki Czesław Wiśniewski („Odgłosy" nr 20 z 18 maja br.) na terenie Łodzi podjęto starania o zorganizowanie Zespołu Realizatorów Filmowych. Twórcy filmowi zamieszkali na terenie miasta odbyli już kilka spotkań roboczych (w jednej z takich narad brał udział kierownik Wydziału Kultury Rady Narodowej m. Łodzi mgr Ryszard Stefańczyk oraz przedstawiciel naszej redakcji Konrad Frejdlich) omawiając profil i kształt artystyczny przyszłego zespołu. Na ręce władz wpłynął też oficjalny memoriał w tej sprawie.

O toku załatwiania tej sprawy, interesującej zapewne wszystkich naszych Czytelników, będziemy informować na bieżąco w miarę zapadania decyzji.

MIECZYSŁAW WOŹNIAKOWSKI

„Aby się żegnać warto mieć amanty"...

To staropolskie porzekadło stwierdza piękno, jakim owiane są rozstania kochanków. Pożegnania te mają urok niewątpliwy, chciałoby się rzec „odwieczny", opiewany przez poetów, utrwalony przez malarzy, muzyków, wyśpiewany w tysiącach pieśni i piosenek. „Ostatni jeszcze raz siądź przy mnie blisko", „Pożegnania nadszedł czas", i — „Idź, nie wracaj" ech, łzy się kręcą... Śpiewało się, śpiewało. Ale ja dziś nie zamierzam konkurować z piosenkarzami ani z poetami lirycznymi i — nie będę „opiewał". Ich bym w twórczości nie pohamował, a Czytelnicy „Odgłosów" odetchną z ulgą.

Przyszło mi to staropolskie powiedzenie na myśl, boć to czerwiec, a więc miesiąc milionów pożegnań. W tysiącach przedszkoli i szkół. Żegna więc „swoje panie", obejmując je i całując 1/2 miliona przedszkolaków, żegna swoje nauczycielki 5 1/2 miliona uczniów szkół podstawowych i 2 miliony uczniów — w szkołach średnich różnych typów. Łzy i uśmiechy, uśmiechy przez łzy, naręcza kwiatów, wdzięczni za trud całoroczny rodzice. Dużo serca, dużo dobroci wyrażanej czasami tylko spojrzeniem, bo słów zabrakło.

Szczególnego wyrazu nabierają rozstania z absolwentami. „Starszaki" z przedszkoli z niecierpliwością oczekują chwili, kiedy zaczną z dumą obnosić się z tarczą szkolną i pójdą wreszcie do prawdziwej szkoły; — absolwenci szkół podstawowych z najcięższym chyba sercem opuszczają szkołę, z którą się w ciągu długich ośmiu lat tak bardzo zżyli. Są przy tym z lekka spietrani: bo to i egzamin, który nie wiadomo jak wypadnie i nowa zupełnie szkoła, nieznani nauczyciele lub dla niektórych praca, więc rozstanie ze szkołą na zawsze; — maturzyści szkół średnich również mają dusze na ramieniu: przed nimi niewiadomy wynik egzaminu na wyższą uczelnię lub pierwsza w życiu praca zawodowa.

U wszystkich czai się w sercu jakiś lęk, skupienie wywołane poczuciem, nieuświadamianym sobie najczęściej, nieodwracalności, zamknięcia pewnego etapu ich życia.

Ta atmosfera pożegnań, tchnienie biologicznego i metafizycznego — niemal procesu przemijania odczuwane jest w sposób niemalże dotykalny przez nauczycieli. Właśnie w te uroku ale i melancholii pełne — dni czerwcowe. Owej filozoficznej zadumy nie rozproszą ani pęki kwiatów, ani okazywane serce i przywiązanie, ani koncerty życzeń w radiu, całkowicie niemal wypełnione melodiami dedykowanymi „drogim wychowawcom".

Potem, po wakacjach, przyjdą radosne powitania. Zdumieniem wypełnione okrzyki: — jak wyrosłaś! Jak zmężniałeś!

Przyjdą odwiedziny w „starej szkole" byłych uczniów, ale to już będą echa owych czerwcowych rozstań. Sentyment, jakim przepojone są wspomnienia dawnych szkół, dawnych nauczycieli zaczął kiełkować — chyba już tego czerwcowego dnia, kiedy żegnaliśmy nasze szkoły zamykając jakiś etap swojego życia. Kiedy uświadomiliśmy sobie, że na tym etapie towarzyszył nam nauczyciel — mądry i niezawodny przyjaciel.

Te niezapomniane chwile czerwcowych pożegnań to jeden z momentów, które czynią szkołę tak urokliwą. Chciałoby się sparafrazować staropolskie porzekadło: aby się tak żegnać, warto być bakałarzem.

ZBIGNIEW WOJCIECHOWSKI

REKIN BEZ ZĘBÓW

„Orbis" liczy sobie 45 lat.

Swoje ostatnie ćwierćwiecze obchodzi razem z 25-leciem Polski Ludowej, bowiem pierwsza po wojnie placówka „Orbisu" powstała w Lublinie, gdy jeszcze na innych terenach okupowanej Polski trwały walki z Niemcami. Czym zajmował się w tamtych niełatwych latach „Orbis"? Był praojcem naszej Państwowej Komunikacji Samochodowej. Ponieważ tabor kolejowy był zniszczony — „Orbis" przewoził Polaków. W ciężarówkach z wojskowego demobilu jeździli Warszawiacy na drugi brzeg Wisły, korzystali z usług „Orbisu" mieszkańcy Trójmiasta i innych większych ośrodków. Przywoził także „Orbis" znaczne ilości tych, którzy wracali z obczyzny do kraju np. w latach 1946—47—48—49 z Francji znaczne ilości repatriantów. Gdyby ktoś chciał szukać rodowodu działalności turystycznej „Orbisu" też musiałby sięgnąć do tamtych odległych już lat 46—47. Pierwszymi turystami w Polsce Ludowej byli chłopi. To mieszkańcy wsi jeździli z „Orbisem" na Ziemie Zachodnie, by na własne oczy zobaczyć, te ziemie, które były odwieczną własnością narodu polskiego, które po latach ucisku i niewoli przyszło im zagospodarowywać. Jeździli z „Orbisem" do spalonych, wyburzonych miast, do Wrocławia, Szczecina, ci, którym wojna zabrała dach nad głową i ten dach mieli sobie odbudować pracą swoich własnych rąk w Wałbrzychu, Koszalinie, Zielonej Górze.

Spełniał więc „Orbis" w tych latach ważną rolę, nie tylko usługową dla przyszłych osiedleńców nad Odrą i Nysą, ale także konkretną rolę polityczną i propagandową. Woził nas na Wystawę Ziem Odzyskanych do Wrocławia, delegatów z całej Polski na Kongres Inteligentów, Kongres Pokoju, na Zjazd Zjednoczeniowy Partii, zaś młodzież z całego świata do Warszawy na niezapomniany Festiwal Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej. Powierzano „Orbisowi" niezmiernie ważne zadania polityczne, jak choćby organizację dowozu i zakwaterowania w Lublinie uczestników jubileuszowych obchodów X-lecia Polski Ludowej i z tych obowiązków Biuro Podróży wywiązywało się bez zarzutu.

Najpierw więc jeżdżono z „Orbisem" na drugą stronę Wisły, potem do Wrocławia, Szczecina, potem do Krakowa, Gniezna, Oświęcimia, a dopiero później ktoś wymyślił hasło: „Z Orbisem w świat". Ale hasło wymyśla się po to, by utkwiło w podświadomości społecznej, no i tak się stało. Więc teraz nikt nie mówi „Z Orbisem do Pcimia" tylko w „świat", a jak w świat, to na Wyspy Kanaryjskie — za 30 tysięcy złotych. Do cen jeszcze wrócę, na razie jednak kilka słów kolejnego wyjaśnienia.

Państwowe Biuro Podróży „Orbis" organizuje wprawdzie zbiorowe i indywidualne wyjazdy turystyczne za granicę, jednak ta działalność nie jest istotą jego pracy. Główne, podstawowe zadanie „Orbisu" — to eksport usług za dewizy dla tych, którzy zwiedzają nasz kraj, lub zamierzają w nim wypocząć. Wyjazdy polskich turystów na zagraniczne wojaże — to tylko funkcja poprzedniej działalności. I dlatego też „Orbis" rozbudowuje coraz bardziej sieć swoich placówek zagranicznych, by móc oferować swoje usługi coraz większej liczbie dewizowych klientów. W tej chwili „Orbis" ma już 11 takich placówek, z czego 8 pracuje na terenie krajów zachodnich, takich turystycznych potęg, jak: Francja, Włochy, Stany Zjednoczone, kraje Beneluksu. W tym roku „Orbis" otrzyma nowe przedstawicielstwo w Moskwie. Placówki te powstały, po to, aby możliwie jak najwięcej turystów przyjechało do nas, byśmy jak najwięcej zarobili na turystyce.

Niełatwa to sprawa. Zważmy, że konkurencja jest bardzo silna. Zagraniczne biura podróży oferują swym klientom, większy komfort, lepszą bazę turystyczną i lepszą pogodę. Na tę ostatnią sprawę „Orbis" choćby nie wiem jak się starał — nie ma wpływu. Rynek trzeba zdobywać więc innymi środkami. Trzeba oferować zagranicznym klientom usługi, jakich nie oferują inne biura podróży, czy koncerny turystyczne. „Orbis" zaczął więc propagować wycieczki tematyczne-specjalistyczne. Dla przykładu — historycy sztuki z Francji przyjeżdżają poznać zabytki sakralne w Polsce, adwokaci — poznają organizację i osiągnięcia polskiego wymiaru sprawiedliwości, hutnicy, obok Zakopanego i Sopotu, zwiedzają polskie huty, a właściciele cmentarzy (to fakt) przyjechali aż ze Stanów Zjednoczonych zwiedzić polskie cmentarze. Ponoć cieszą się wielkim uznaniem na całym świecie. Rzecz jasna — u fachowców. Opinii tych, którzy z nich korzystają, niestety nie znamy. Taką formą specjalizacji są także wczasy w siodle, z powodzeniem od kilku lat organizowane przez „Orbis". Wiadomo, że sport jeździecki jest w krajach zachodnich sportem ekskluzywnym i nauka jazdy na koniu kosztuje wiele dolarów. W porównaniu z cenami klubów hippicznych ceny „orbisowskie", są dla Francuza, Anglika, Szweda czy Włocha bardzo przystępne. Przyjmując u siebie wyspecjalizowane grupy, „Orbis" pragnie także wysyłać za granicę grupy specjalistyczne. W tym celu nawiązano kontakt z Polską Izbą Handlu Zagranicznego i w myśl podpisanych porozumień przez „Orbis", wyjadą czterdzieści cztery grupy na wystawy i targi handlowe, dosłownie na całym świecie. „Orbis" rezerwuje także pewne i to niemałe kwoty dla grup wybitnych naukowców, specjalistów, wyjeżdżających na kongresy, międzynarodowe sympozja. Z tej sumy dewiz korzystają także stowarzyszenia zawodowe, jak np.: architekci, nauczyciele, inżynierowie różnych branż oraz członkowie Związków Zawodowych, dla których to „Orbis" załatwia określone wyjazdy-wycieczki specjalistyczne.

Za pozostałe sumy dewizowe organizowane są wycieczki, których trasy i ceny widzimy w witrynach biura podróży. W tym są te najdroższe — rejsy na statkach. Korzysta z nich rocznie około 2 tysięcy osób w stosunku do 50 tysięcy, które wyjeżdżają za granicę we wszystkich wycieczkach zorganizowanych. Ale te 2 tysiące urabiają opinię o usługach „Orbisu". Zresztą dla wyjaśnienia. Na dawnym „Batorym" były zaledwie trzy miejsca po 30 tysięcy złotych. To te najdroższe, luksusowe. Inne ceny kształtują się od usytuowania kabiny, czy to jest rufa, dziób, czy kabina położona jest poziomo, pionowo, z oknem czy bez — w sumie 14 cen. Najtańsze miejsce kosztuje 19 tysięcy. To i tak masa pieniędzy. Ale czy to wina „Orbisu", czy „Orbis" na tym zarabia kokosy? Ostatnie pięciodniowe rejsy „Batorego" po Bałtyku skalkulowano na 2550 złotych. Przeszło 2 i pół tysiąca złotych — za 5 dni to wiele. Zanim jednak postawimy kropkę pod tym stwierdzeniem, przeanalizujmy koszty. Polskie Linie Oceaniczne, instytucja państwowa, za jeden dzień pobytu na statku pobierają 490 złotych. Taką sumę za każdego swojego turystę według ustalonej i zatwierdzonej stawki musi wpłacić „Orbis" do kasy PLO. 5 dni po 490 złotych — to już 2450 złotych. Te 100 złotych — to zarobek „Orbisu". Podzielmy tę setkę na 5 dni, a dowiemy się, że „Orbis" na tym rejsie zarabiał dziennie na każdym turyście 20 złotych. Za te 20 złotych załatwiał wszystkie formalności paszportowe, organizował program rejsu, opłacał pilota, informował. W tym wypadku zrezygnował z przysługującej mu i zatwierdzonej dla każdego Biura Turystycznego i Biura Podróży 15 procentowej marży. Te wszystkie obliczenia są jeszcze bardziej skomplikowane, gdy w grę wchodzi relacja złoty-dolar. Polski turysta płynący „Batorym" na Wyspy Kanaryjskie płaci średnio 25 tysięcy złotych, natomiast Anglika, który wsiada na „Batorego" w Londynie, a więc ma trasę krótszą o drogę Gdynia—Londyn i Londyn—Gdynia wycieczka na Wyspy Kanaryjskie w towarzystwie polskich turystów kosztuje 600 dolarów. Drogo czy tanio? Zależy — jaką relację cen zastosować przy tym obliczeniu.

I jeszcze jeden aspekt sprawy, który warto poruszyć. Oczywiście można taniej. Można taniej organizować wycieczki, a ściślej mówiąc — można taniej ludzi przewieźć. Tylko że wtedy „Orbis" zejdzie do roli przewoźnika. Nie będzie już mowy o turystyce, o zwiedzaniu, ale o tym, o czym wielu pseudoturystów marzy, by przyjechać do miasta, sprzedać — kupić, kupić — sprzedać i wyjechać. A na popieraniu takiej formy turystyki państwu naszemu nie zależy. Trzeba więc turystom przyjeżdżającym do zagranicznych miast zapewnić oprócz spania, jedzenia tzw. program, a więc podpisać z odpowiednim miejscowym biurem turystycznym umowę, by przygotowało autokar, pilota, trasę, jakieś atrakcje. A to wszystko kosztuje, i to w dewizach. Poza tym nasze biura turystyki ze względu na stosunkowo małą liczbę turystów z Polski nie mają zbyt wielu kontrahentów. Polska nie ma np. rabatu, gdyż niektóre przedsiębiorstwa zagraniczne udzielają rabatu dopiero po określonej liczbie (tysięcy) turystów, których obsłużyły.

Załatwmy temat: wycieczki zagraniczne — stwierdzeniem, że standard ich jest w „Orbisie" najwyższy. Zastanówmy się nad działalnością „Orbisu" w kraju. Dopłata do biletu wynosi od 1.50 do 4.50. Ale to nie cała prawda. Zabrzmi to śmiesznie może, ale „Orbis" nie chce pobierać tych opłat. „Orbis" od lat proponuje PKP, by za sprzedane w kasach „Orbisu" bilety dawano mu normalny procent. Bo przecież „Orbis" musi utrzymać kasjerów, kasy, lokale itd., a z tych wydatków i kłopotów zwolniona jest PKP, której „Orbis" przez swą działalność zwiększa obroty. Ale Polskie Koleje Państwowe nie chcą podjąć tej inicjatywy. W rezultacie traci na tym klient. Ale czy to „Orbis" jest temu winien?

I już na zakończenie wspomnę jeszcze o jednej mało znanej społeczeństwu, wielkiej akcji „Orbisu".

Rokrocznie wspólnie z Ministerstwem Oświaty — Biuro Podróży organizuje wycieczki dla młodzieży szkolnej. Średnio rocznie w tygodniach przedwakacyjnych pociągami, autokarami zwiedza nasz kraj ponad 200 tysięcy młodych ludzi. Są to wycieczki ze specjalnym programem krajoznawczym. Poza pilotem „Orbisu" na każdą dwudziestkę dzieci jedzie bezpłatnie pedagog, by zapewnić należytą opiekę wychowawczą, oraz przedstawiciel Kuratorium. Akcja ta przysparzająca „Orbisowi" mnóstwo kłopotów, jest na granicy opłacalności. Nie muszę mówić, że decyduje tu interes społeczny. 200 tysięcy dzieci z „Orbisem" poznaje swój kraj.

„Orbis" jest instytucją państwową i ma taką samą jak wszystkie inne biura podróży marżę zarobkową (maksimum 15 proc.) której nie wolno mu przekraczać. Jest najstarszym i największym biurem podróży. Jest potentatem, którego mierzy się przez pryzmat Wysp Kanaryjskich, albo cen w restauracji „Malinowa". Ale ten rzekomy rekin, przy bliższym zbadaniu, okazuje się łagodnym bezzębnym staruszkiem, od lat oswojonym, ułagodzonym przez pana.

FELIKS BĄBOL

BAWEŁNIANA SAGA MIASTA

Życie Przybylskiego nie pasuje do żadnego przejrzystego, choć siłą rzeczy banalnego schematu. To nie jest symbol sukcesów swej klasy, bo choć przepracował już we „włóknie" 42 lata, to przecież nie jest jeszcze dyrektorem. Nie stanowi również przykładu całkiem negatywnego. Ma tam gdzieś na przedmieściu swój mały domek jednorodzinny, ale przecież dzięki temu po wojnie nie wystawał w kolejkach po darmowe mieszkanie kwaterunkowe. Jego córka kończy właśnie studia, ale on sam nie reprezentuje mas, które przed wojną nic nie miały i które teraz mogą się szczycić, że mają wszystko.

Życie Przybylskiego jednak pasuje do bawełnianej sagi miasta. Jednym z twórców tej sagi był jak wiadomo Scheibler, innym Grohman, a on — Przybylski — związał się z tą fabryką — i to w bardzo ciekawych czasach. W 1935 roku snuły się jeszcze po scheiblerowskich zakładach resztki tradycyjnego klimatu wielkoprzemysłowego. Jeszcze żywe były wszystkie mity o przeszłości i potędze. Jak to Scheibler w połowie ub. stulecia przywędrował z Ozorkowa do Łodzi, aby wyzwoliwszy się spod ciążącej mu sławy Schloesserów samemu dobijać się wielkości. Jak to Grohmann w 1827 roku zaczął od 100 krosien ręcznych i 2 tys. wrzecion przędzalniczych, by potem, po niemal stu latach, dać swym spadkobiercom możność połączenia się ze spadkobiercami Scheiblerów i stworzenia firmy pod nazwą „Zjednoczone Zakłady Przemysłowe K. Scheibler i L. Grohmann".

„Szły" w tym czasie madapolamy i płótna, nansuki i prześcieradła, sybiry i kołdry a najwięcej „szły" chustki z frędzlami — bo to one w latach międzywojennych były najbardziej masowym artykułem odzieżowym tysięcy tkaczek i prządek, setek tysięcy kobiet na polskiej wsi. Fabryka eksportowała wtedy do Rumunii i Gdańska, Estonii i Palestyny, na Węgry, do Anglii i Chin — mniej tego razem było niż obecnie, ale wyroby scheiblerowskie znane były szeroko w świecie.

Przybylski więc przyszedł do Scheiblerów — jak mówi teraz — w 1935 roku, a więc w czasie, gdy nad fabryką zbierały się groźne chmury upadłości. Tylko kilkanaście lat dane było zakładom, po połączeniu się obu potentatów, żyć samodzielnym życiem. Doszło do połączenia?

— Jak? W fabryce wszyscy o tym mówili — wspomina Przybylski — że Grohman miał dużo pieniędzy, a Scheibler reprezentował technikę i praktyczny zmysł przemysłowca dużej miary. Po połączeniu Henryk Grohman pilnował przędzalni, Alfred zaś miał strażackiego konika — przez wiele lat piastował w Łodzi funkcję komendanta ochotniczej straży ogniowej. To chyba zostało mu jeszcze po dziadku — założycielu grohmanowskiej firmy w trzydziestych latach XIX wieku. Opowiadał mi przed wojną stary majster Werner, że Scheibler nie od razu wylądował na Księżym Młynie. Najpierw próbował osiąść na Kątnej, sprowadził tam kilkadziesiąt krosien tkackich i jakiś czas „kręcił". Ale kokieteria władz miejskich Łodzi była silniejsza. Zwabiony darowizną w postaci „Ogrodu Angielskiego" w Kweli czyli w parku Źródliska, zajął się produkcją bawełnianą na skalę niespotykaną.

Buduje tkalnię. Ale robotnicy w obawie utraty pracy dewastują znaczną część krosien mechanicznych. Nie zraża się tym buntem, wkrótce buduje nową tkalnię mechaniczną i przędzalnię na 40 tys. wrzecion. Staje się pionierem tkactwa mechanicznego w Polsce. Tak jak pionierem był Geyer, który sprowadził do Łodzi pierwszą w Królestwie maszynę parową, jak Poznański, którego potęga wyrosła na skupie i przerobie szmat.

* ★ *

Budzi szacunek ta głowa już siwa i lata, które Przybylski spędził na grohmanowskich i scheiblerowskich tkalniach. Po ukończeniu średniej szkoły technicznej praktykuje na majstra u Hoffrichtera w Łodzi, ale po śmierci fabrykanta firma obniża swe loty. Następują redukcje: ofiarą jednej z nich jest i Przybylski. Dlatego, że był młody, a zwalniali właśnie młodych. To wtedy związał swe losy z krosnami na Księżym Młynie jako młody majster. Kołdry jednak, barchany przestały „iść" po roku, zresztą każda „buda" włókiennicza robiła te popularne artykuły, konkurencja więc była silna. Dlatego po roku, gdy całym miastem wstrząsały strajki, Przybylski wędruje do Warszawy, aby pracować dla senatora Heimana-Jareckiego.

Senator kupił w Łodzi 60 krosien od Sylbersztajna i na Woli uruchomił produkcję tkanin bawełnianych. Sześć miesięcy trwała ta warszawska kariera Przybylskiego. Skończyła się w kilka dni po nadejściu wiadomości, że Scheibler i Grohman ogłosili upadłość i że rząd przysłał syndyka — generała Maciszewskiego. Generał zajął się uporządkowaniem produkcji, oczywiście o ile potrafił, w każdym razie starał się, przynajmniej na początku swej rządowej misji, aby jak najbardziej rozszerzyć produkcję. Chodziło przecież o to, aby straszliwie zadłużona firma regularnie spłacała podatki.

— Wróciłem do Łodzi. Nie było już Stelzicha, który mnie przyjmował do Scheiblerów, jego miejsce zajął Trąbski, jakiś szlagon z Wołynia, który panicznie bał się epidemii i stale chodził w towarzystwie strażaka. Strażak wycierał przed nim starannie wszelkie klamki, aby mikroby nie zagroziły szlagonowi. Trąbski nie zagrzał długo. Na jednym z zebrań zarządu spółki okazało się, że o tkactwie właściwie nie ma zielonego pojęcia, więc w parę dni musiał odejść. Wtedy to poznałem jego następcę — obecnie wysokiego urzędnika w jednym z ministerstw. Wysoki urzędnik uporządkował organizacyjnie oddział. Twardą miał rękę wobec tych co się obijali, ale przecież to on po raz pierwszy w dziejach zakładów scheiblerowskich zaczął wysuwać młodych i zdolnych Polaków na kierownicze stanowiska — dotychczas zagwarantowane jedynie dla Niemców.

— Z tych też czasów doskonale pamiętam najmłodszego z Grohmanów — Ferdynanda. Sprawiał wrażenie jakby się wyrodził z klasy, którą reprezentował. Nawet do dziś nie wiem jeszcze ile w nim było pozy i fałszywego demokratyzmu a ile istotnej dbałości o rangę rodu Grohmanów w spółce. Przesiadywał w swym wydziale mechanicznym od piątej rano do dziewiątej wieczór, jadł z termosów, które mu przynoszono z domu, a buty oddawał do szewca tak poniszczone, że nic, tylko wyrzucić na śmietnik. Zapytany kiedyś o powody tak ofiarnej pracy dla zakładów, w przystępie szczerości odpowiedział, że z Scheiblerami nie jest najlepiej, że chce odbudować prestiż przodków. I harował od świtu do nocy.

ROBERT GLUTH

Kilka uwag o zawodzie belfra

Niech mnie nikt nie posądzi, że słowa „belfer" używam w tytule w sensie pejoratywnym. W końcu sam jestem synem człowieka, który wychował wiele pokoleń pedagogów polskich, i chodziłem do szkoły, gdzie miałem belfrów co się zowie, takich, których do końca życia się już pamięta.

O nauczycielach napisano bardzo wiele i często bardzo pochlebnie. W swoich penetracjach „socjologicznych" pytałem jednak przedstawicieli tego zawodu o rzeczy, które na ogół z okazji rocznic nie ukazują się „na łamach".

Bazą moich sondaży był nauczyciel średni — nauczycielki szkół powszechnych, profesorowie gimnazjów, szkół technicznych... Tu muszę od razu wyjaśnić, że pod słowem nauczyciel rozumiec można wiele — od przedszkolanki aż do kierownika katedry pedagogiki uniwersytetu.

Co ciekawe, problemy najbardziej palące zawodu nauczycielskiego nie wiązały się w większości wypadków z problemem „jak dociągnąć od pierwszego do pierwszego" (chociaż i o nich muszę tutaj napisać), nauczyciele wykazali zainteresowania wieloma sprawami w sposób zgoła altruistyczny: mówili o swoim piekielnym wyścigu z czasem, o sprzeczności między nowoczesnością, a systemem nauczania, wreszcie o randze zawodowej, która stała się dla nich sprawą ambicji.

1.

Na początek anegdota — nie tyle heca ile fakt — jak mawiał mój brat stryjeczny, rodak z Mokotowa. Otóż pewnego dnia były kurator Okręgu Szkolnego m. Łodzi spotkał swojego byłego ucznia — młodego mężczyznę, doskonale wyglądającego, rozpartego w nowoczesnym samochodzie. „Dzień dobry, panie profesorze" — powiedział młody człowiek zatrzymując wóz. W tym momencie kurator oniemiał — miał przed sobą bowiem nauczyciela szkoły wiejskiej, bardzo lichego zresztą ucznia sprzed lat. Od słowa do słowa wszystko się wyjaśniło. Zażywny, młody mężczyzna w rzeczy samej jest tym nauczycielem wiejskim a swój standard życiowy tłumaczy z rozbrajającą szczerością: „Co cóż, panie profesorze, mam kawałek pola, pasiekę, parę świnek, trochę badyli, dorabiam sobie jeszcze na kursach przysposobienia rolniczego..."

Były kurator — a mój znakomity profesor ze szkoły średniej — opowiadał tę anegdotę chichocąc, ale jakoś cierpko.

Co tu gadać — reputacja społeczna zawodu nauczyciela z biegiem lat spadła ogromnie. Oczywiście, czasami tutaj zaważy pasieka, o którą bardziej się dba niż o wychowanie młodego pokolenia, ale najczęściej przyczyny są dużo głębsze — szczególnie w mieście — szczególnie w szkołach typu ogólnokształcącego.

2.

Zawód nauczycielski jest najbardziej sfeminizowanym zawodem w PRL (pominąwszy chyba pielęgniarki). Jestem wrogiem nadmiernej ilości danych statystycznych, od których się Czytelnikom kręci w głowach, ale nie mogę sobie odmówić tej przyjemności i zacytuję przykładowo z terenu woj. łódzkiego dane następujące:

Ponad 74 procent ogółu zatrudnionych nauczycieli na terenie tego województwa — to kobiety; ale stanowiska kierownicze zajmuje ich w szkołach Ziemi Łódzkiej tylko 44 procent. Sytuacja jest typowa — odchylenia na korzyść mężczyzn zatrudnianych występują tylko w szkolnictwie zawodowym. Nie ma więc potrzeby przytaczania wskaźników z Łodzi czy z innych województw. Zestawienie tych liczb mówi o utajonej fikcji równouprawnienia w tradycji zawodu nauczycielskiego. Skutki wychowawcze wzrastającej feminizacji zawodu nauczycielskiego stanowią temat do odrębnego traktatu. Nie trzeba być bynajmniej antyfeministą, żeby wiedzieć, iż zostaje tutaj położony nacisk mimowolny na emocje i impulsy w wychowaniu, a nie na chłód i intelekt. Jestem w stanie dyskutować z każdym czytelnikiem i przekonać go, że tak jest w istocie, a zakłócenia równowagi w udziale mężczyzn i kobiet w wychowaniu młodzieży pociągają za sobą skutki nieodwracalne z punktu widzenia pedagogiki, psychologii, jakiejkolwiek teorii wychowania. Z drugiej strony powierzanie stanowisk kierowniczych prawie wyłącznie mężczyznom nosi jakiś posmaczek nieufności. Więc sprzeczność.

Jak uczy praktyka światowa, nadmierna feminizacja jakiegokolwiek zawodu świadczy o jego degradacji w oczach społeczeństwa. Jest rzeczą bowiem naturalną, że zarobek kobiety jest tradycyjnym zarobkiem dodatkowym w przeciętnej rodzinie, a zawody „czysto kobiece" charakteryzują się niską płacą.

Tak w istocie wygląda sprawa z zawodem, który opisuję. Dla przykładu: początkujący nauczyciel szkoły średniej, posiadający magisterium zarabia 1.350 zł — po trzech latach czeka go ewentualny awans do 1.550 zł, zaś najwyższa stawka — (już dyrektorska) wynosi 2.300 zł.

Oczywiście, można tutaj dodać możliwość godzin nadliczbowych, prowadzenie kół naukowych w gimnazjach miejskich, szkół gospodyń lub szkół przysposobienia rolniczego na wsiach... Naturalnie można również wrócić do naszej anegdoty i mówić o działkach, hodowli, pasiece itp. Ale co to ma wszystko wspólnego z wychowaniem młodego pokolenia.

Nauczyciele obarczeni rodziną dorabiają sobie korepetycjami, odczytami TWP... Potem naturalnie rodzice i publicyści narzekają na poziom absolwentów, ale sytuacja jest poważna skoro przygotowanie i właściwe wykorzystanie jednostki lekcyjnej jest udziałem nielicznych Siłaczek i Judymów, którym ani to pasieka, ani kursiki w głowie.

3.

Może ktoś powiedzieć, że obserwujemy stałe podnoszenie się poziomu wiedzy wśród nauczycielstwa. Ba, na terenie Łodzi kilkudziesięciu nauczycieli — w tym również ze szkół podstawowych — ma otwarte przewody doktorskie. Zastanawiające jest jednak, że: 1. literatura fachowa, periodyki i tłumaczenia wybitnych prac obcojęzycznych należą do rarytasów (np. „Polonistyka", jedyne pismo zawodowe polonistów jest... dwumiesięcznikiem); 2. dopiero teraz zaczynają się ukazywać podręczniki metodologiczne do nauczania różnych przedmiotów; 3. przeciętny nauczyciel ma tak zablokowany czas, że nie jest w stanie odpowiedzieć, kiedy znajdu je godzinę na poważne pogłębianie własnej wiedzy (a w tej sytuacji pięknie prowadzone ośrodki metodyczne, kursy doskonalenia, stanowią w przeważającej mierze sposób wyręczania nauczyciela od samodzielnego myślenia).

4.

Co mówią nauczyciele szkolnictwa średniego? Wszyscy zgadzają się po cichu, że konieczna jest głęboka reforma szkolnictwa w PRL. A więc — likwidacja przestarzałego już chyba podziału na szkoły techniczne i ogólnokształcące. W świecie wzrastającej politechnizacji taki podział jest anachroniczny. Ważne natomiast jest ustalenie pewnego minimum przedmiotów, które każdy uczeń musi opanować, a resztę powinien obligatoryjnie przyswajać sobie w zgodzie z własnymi zdolnościami.

Za dużo już mówimy i to bez przerwy o młodzieży zaniedbanej. Fakt: trzeba się nią zająć. Ale kto myśli, co robić z młodzieżą wyjątkowo uzdolnioną, której jest coraz więcej i która poprowadzi dalej rewolucję techniczną.

Tymczasem mamy komiczny system „pracowniany". Pracownie w szkołach są rzeczą dobrą, mądrą i bardzo dawną, ale wówczas, gdy dotyczą przedmiotów nauczanych systemem laboratoryjnym. Konia z rzędem temu, kto mi wyjaśni na czym polega na przykład pracownia matematyczna. Chyba tylko na przejściu czeredy uczniów z klasy do klasy.

Jeszcze jedno: jeśli wprowadzamy nowoczesny sprzęt do nauczania, to musimy razem z nim wprowadzić doświadczonych laborantów. Inaczej diabli biorą całą jednostkę lekcyjną z powodu jednego szwankującego drucika. Warto poświęcić trochę czasu i ze stoperem w ręku obliczyć, ile godzin w roku poświęca nauczyciel fizyki, chemii czy biologii na samo „dręt we" przygotowanie pracowni do użytku.

Młodzież do szkół przychodzi bardzo „oblatana" — pełna telewizyjno-krzyżówkowej wiedzy, pełna również chaosu w głowie. I w tej sytuacji telewizja, której zresztą należą się w tym miejscu duże brawa (bo robi co może) staje się konkurentem szkoły, zamiast pomocą, sojusznikiem nauczyciela. Bardzo żal mi malca, który ogląda na szklanym ekranie loty w kosmos, a później siada w ławce i wkuwa, że Ala ma Asa. To oczywiście przenośnia, ale nie trzeba jej chyba tłumaczyć.

5.

Jak w tym wszystkim czuje się przeciętny, szary nauczyciel, bo odpowiedź na to pytanie stanowi główny cel moich uwag. Chyba — i na to znalazłem potwierdzenie w rozlicznych ankietach prywatnych — nauczyciel czuje się zagubiony, trochę bezradny i bardzo niedoceniony.

Największą przyjemność, jaką bym mógł mieć po opublikowaniu tego materiału — byłoby solidne mycie głowy dokonane przez czynniki kompetentne. Obawiam się jednak, że skończy się na apetycie. Wspomniałem przecież na początku, że nie mam zamiaru pisać o dość powszechnie znanych osiągnięciach, poważnych osiągnięciach. Chciałem tylko dowiedzieć się, co na dnie duszy nauczyciela (przepraszam, nauczycielki) leży i uwiera.

— Stosunki polsko-niemieckie w fabryce zaostrzyły się w czasie okupacji. Wyrzucono mnie i wszystkich Polaków z funkcji majsterskich i kierowniczych, obsadzając je Niemcami. Na kierownika tkalni przyszedł wówczas Kleindienst — najstarszy wiekiem esesowiec łódzki. Chełpił się nawet tym, jaki to on twardy hitlerowiec. Był to kawał łotra, zresztą podobnie jak salowy Portich.

— A co się z nimi stało w czterdziestym piątym?

— Rozwalono ich nim zdążyli zwiać z innymi hitlerowcami. Po wojnie rozpoczynaliśmy od niczego. Z przędzalni cienkiej Niemcy wywieźli wszystkie pasy napędowe, a czesarki rozmontowano, tkalnia była jednym wielkim rumowiskiem zardzewiałego żelastwa. Na wykończalni brakowało cennych walów drukarskich, a dokumentację techniczno-ruchową całej wielkiej fabryki spalono w ogrodzie Biura Głównego przy Targowej. Warto też pamiętać, że po wojnie produkcję zaczęto od przerobu bawełny radzieckiej. Ta nadeszła pierwsza do fabryki.

Ale od tego czasu zaczynają się zmienne losy przedsiębiorstwa. Coraz to biorą górę różne pomysły organizacyjne. Od komasacji do decentralizacji, potem znów komasacja i znów decentralizacja. A więc — Państwowe ZPB nr 1, ZPB im. Stalina, ZPB im. Obrońców Westerplatte, Obrońców Warszawy, imienia Mickiewicza, imienia Kościuszki, Łódzkie ZPB im. Obrońców Pokoju i obok tego jednocześnie ZPB im. Obrońców Westerplatte, aż wreszcie — obecnie ŁZPB Obrońców Pokoju „Uniontex".

* ★ *

Mimo tych wszystkich wstrząsów organizacyjnych udało się fabryce zająć przodujące miejsce w kraju. Przybylski i jego jedenaście tysięcy towarzyszy pracy produkują tyle w ciągu roku, że tkaninami stąd można by opasać dwukrotnie ziemię na równiku. Przybyło też odbiorców w świecie. To nic, że wielu z nich doskonale wie, że wyroby „Uniontexu" to wyroby produkowane w starych murach scheiblerowskich i grohmanowskich. Postęp techniczny i organizacyjny sprawił, że tkaniny z Księżego Młyna zdobyły swą rangę niezależnie od sławy XIX-wiecznych pionierów łódzkiego przemysłu bawełnianego.

Ale jak się czuje Przybylski w tych nowych warunkach? Musiał się zmienić, zmieniła się i jego córka, która nie myśli mieszkać w tym jednorodzinnym domku z ogródkiem. Męczy się w jakimś pokoiku sublokatorskim a ojcu mówi: — Chcesz to rób! Omiataj śnieg, reperuj dachy, co mnie to obchodzi. Sama męczy się więc w tym swoim pokoiku i czeka na samodzielne mieszkanie spółdzielcze — bo to inne pokolenie. Państwo dało jej możność ukończenia wyższych studiów w mieście, z którego przez całe dziesięciolecia na studia do stolicy, Krakowa czy za granicę wyjeżdżali jedynie synowie i córki górnych paru tysięcy. Ta córka nie może pojąć, że jej ojciec i matka przez długie lata ciułali grosz do grosza, by postawić domek i zapewnić sobie na stare lata własny dach nad głową a jej zapewnić jaki taki start życiowy.

Ten siwy człowiek, z którym rozmawiam, który raz po raz odbiera telefony by rozmawiać z Bielawą, Zelowem czy Piotrkowem — robi wrażenie jakiegoś mostu między epokami. Między czasem, który już odszedł i odchodzi wraz z nim i czasem dzisiejszym. Przedstawicielka nowej epoki — córka Przybylskiego nie chce już wiedzieć po co przybyli do Łodzi Geyer i Poznański, Scheibler i Grohman, ani tego, że jej ojciec tuż po wojnie — między obowiązkami w fabryce, omiataniem własnego domku na przedmieściu i reperacjami dachu — nie znalazł już czasu na studia, choć tak łatwo przy jego wiedzy ogólnej i praktycznej byłoby mu zdobyć papier inżyniera włókiennika. Nie zrobił tego i stąd nie może być bohaterem budującej opowieści, jak to w nowych warunkach jednostka może zdobyć wszystko, do czego oficjalnie i konstytucyjnie ma dostęp.

* ★ *

Ale zostawmy tę córkę z jej własnym, nie odosobnionym zresztą, pojmowaniem naszych czasów. Wróćmy do człowieka, który rozmawia teraz z Bielawą. Bielawa wyraźnie się „ciska" — w przędzy, którą dostała do przerobu od „Obrońców" są tzw. nierównomierności. A mój rozmówca musi to wszystko ładnie załagodzić by kolejna reklamacja zbytnio nie pokrzywdziła firmy. Ale po co przędza z Łodzi podróżuje na Śląsk?

— Po co jedzie? — Widzi pan, to chyba tak już musi być. Kupujemy przędzę i sprzedajemy przędzę, kupujemy tkaniny surowe do wykończenia i jednocześnie sprzedajemy tkaniny surowe innym zakładom. Wozi się np. przędzę do Lubania, który po zrobieniu z niej flaneli, przesyła ją do wykończenia znowu do Łodzi — do „Kunickiego" Wykańczamy tkaniny wyprodukowane w Kudowie, chociaż Kudowa ma pod bokiem wykończalnię w Bielawie. Kto za tym trafi...

Przybylski nie może tego zrozumieć, choć we „włóknie" przepracował 42 lata. Pewną część kłopotów których fabryce nie brak, potrafi sobie wytłumaczyć powojennym rozmachem produkcyjnym. — Scheibler i Grohman — mówi — robili flanelę w 3 gatunkach, u nas robi się jej 18 gatunków, drelichów robiliśmy przed wojną 2 rodzaje — dziś od cholery i trochę...

Mimo wszystko przemawia przez niego jakaś duma. Po wojnie każdy chce się ubrać po ludzku a przed wojną Scheibler i Grohman najwięcej obrotów robili na chustkach z frędzlami. I może dlatego w tych zmaganiach o coraz bogatsze zaopatrzenie sklepów nie starczy już energii na likwidację non sensów z wożeniem przędzy i tkanin po całej Polsce, na rozsądne rozwiązanie sprawy tzw. zachęty materialnej dla tkaczy. Nadal urządza się płacenie kar za błędy i złą jakość, bo premii za przekroczenie ilości i tak otrzymują tkacze więcej. To wszystko sprawy drobne, mało interesujące, drobiazgi, których załatwienie wykracza jednak czasami poza możliwości tej wielkiej fabryki.

* ★ *

Przybylski nie jest klasycznym tematem dla piszącego. Bo w jego życiu nie było patosu. Oprócz kilku strajków, w których brał udział, pomagał jedynie przy uruchamianiu w 1945 r. fabryki. Przed wojną nie dojadał latami, by starczyło na jeszcze jeden tysiąc cegieł i furę desek, po wojnie — wychował tylko córkę. Teraz jest jedynie kierownikiem jednego z licznych tu oddziałów i wydziałów. Więc... Więc życie Przybylskiego nie pasuje do żadnego schematu. Ale ten człowiek — choć tak zwykły i szeregowy — przepracował przecież 42 lata w przemyśle, który ubiera od dwudziestu pięciu lat całą Polskę, przepracował w fabryce, która żywi dwadzieścia tysięcy ludzi. Jego życie z konieczności jest częścią wielkiej sagi bawełnianej, związanej na zawsze z historią Łodzi.

ZYGMUNT FIJAS

Cybernetyczni ludzie w Działoszynie

Opowiadanie do poduszki

Załatwiliśmy w cementowni w Działoszynie reklamację tyczącą szesnastu worków skamieniałego cementu portlandzkiego, przysłanego omyłkowo do naszych zakładów. Czekaliśmy na pociąg do Karsznic. Dla zabicia czasu zabawialiśmy się z panem Stasiem grą w damkę. Graliśmy aż do chwili, gdy we wszystkich megafonach dworcowych, a było tych urządzeń informacyjnych na tej stacji najmniej siedem, coś trzasnęło jak piorun, po czym panna spiker gromowym głosem oznajmiła: „Oll-luwaga oll-luwaga! Pociąg z Tarnowskich Gór, mający odjazd o godzinie czternastej minut pięćdziesiąt dziewięć, wjedzie za chwilę na tor trzeci przy peronie drugim. Oll-luwaga, oll-luwaga. Proszę odsunąć się od toru!"

Wybiegliśmy z poczekalni. Jeszcze bębenki w naszych uszach nie odzyskały należytej normy po tym gromowym komunikacie, gdy z megafonów dały się słyszeć głosy nieco cichsze, informujące o cenie „rzadkiewki" w Wieluniu oraz importowanych jugosłowiańskich parasoli o sześciu drutach po obniżonej cenie — w Pajęcznie. Domyśliliśmy się, że to kolejarze zebrani w nastawni omawiali osobiste sprawy przy nie wyłączonym mikrofonie, którego moc dźwiękową określały chyba szrapnelo-decybele. Zaraz po tych głosach panna spiker, gryząc macę albo szkło, zaryczała przez megafon: „Yll-luwaga, yll-luwaga, yll-luwaga, yll-luwaga, yll-luwaga" i umilkła. Nietrudno było odgadnąć, że głos informatorki jest nagrany na płycie, zaś igła gramofonowa, jak to niekiedy bywa z nagraniami drugiego gatunku po obniżonej cenie, utknęła na jakiejś skazie. Po chwili w megafonach znowu coś zaczęło trzeszczeć i zamiast spodziewanego „Yll-luwaga, yll-uwaga, pociąg do Karsznic wjeżdża na tor trzeci przy peronie drugim, proszę wsiadać, drzwi zamykać. Yllluwaga, yllluwaga!" posłyszeliśmy informację, że pociąg z Tarnowskich Gór do Karsznic, mający planowy odjazd o godzinie czternastej minut pięćdziesiąt dziewięć, jest spóźniony o niecałe pół godziny.

Mieliśmy więc sporo czasu, aby wróciwszy do poczekalni, dokończyć rozpoczętą jeszcze na drodze prowadzącej z cementowni do dworca rozmowę o cybernetyce.

— A więc co to jest, panie Włodku, ta cybernetyka? — zapytał mój towarzysz podróży. — Powiedz pan jeszcze raz.

Zaglądnąłem do notatnika.

— Według uczonego Williama Rossa Ashby cybernetyka jest to nauka o badaniu układów otwartych dla energii, a zamkniętych dla informacji.

— To coś takiego — zauważył uszczypliwie pan Staś — jak usta tej kolejowej panny spiker. One są otwarte dla energii jedzenia, a zamknięte dla poprawnego wygłaszania informacji.

— Tanim żartem, panie Staszku — rzekłem — podobnie jak sianem, od wszystkiego można się wykręcić. Ale dzięki cybernetyce mamy loty kosmiczne, mamy fabryki automatyczne, mamy podróże statków bez załogi. Cybernetyka to nie żarty.

— No dobrze. Ale może poda pan inne jakieś określenie tej cybernetyki?

Znowu zaglądnąłem do notatnika.

— Przeczytam panu inną definicję. Cybernetyka, według uczonego Wienera, jest nauką o komunikacji i sterowaniu w maszynach i zwierzętach.

— A w ludziach nie?

— Zadaje pan pytania jak dzieciak. Teraz każdy człowiek czytający wie, że osobnik ludzki jest jednocześnie laboratorium chemicznym, maszyną i zwierzęciem. Jest kierowany od wewnątrz przez to, co się w nim dzieje, a więc w trzustce, nerkach, wątrobie, żołądku, jelitach, sercu oraz przez popędy, przyzwyczajenia, przesądy, sumienie, historię, otoczenie, rozporządzenia, czyli także od zewnątrz. Od zewnątrz, bo tak: za pół godziny, na skutek informacji panny spiker, pobiegnie pan na peron drugi, żeby wsiąść do pociągu, który stanie na torze trzecim. Gdyby maszynista otrzymał wcześniejszą informację, iż wjazdu nie ma, to pociąg stałby przed semaforem, dopóki by to się podobało dyżurnemu ruchu. Ale dyżurnemu ruchu nie może to się zbyt długo podobać, bo za to stanie mogłoby go spotkać ciężkie więzienie w razie karambolu. Zaś o tej karze podałby informację kto inny: sędzia ferujący wyrok. Zaś o tej informacji sędziego decydują przepisy prawne. A przepisy to też informacje, które znowu sterują załogą stacji.

— Ładnie to pan wykoncypowałeś — pochwalił mnie pan Staś.

— Ja tego nie wymyśliłem — odparłem. — Tak jest urządzony świat, który sam się urządzał i to na długo przed wynalezieniem maszyn cybernetycznych i lotów kosmicznych.

Pan Staś poskrobał się po głowie, po czym rzekł:

— Jeśli dobrze rozumiem, to chce pan powiedzieć, iż informacja panny kolejowej rządzi nami, zaś panną kolejową oraz kierownikiem ruchu kierują przepisy. Ale kto mną kierował przedwczoraj, gdy chciałem przejść przez jezdnię w niedozwolonym miejscu i nie przeszedłem przez nią, i nie wpadłem pod auto, gdyż uwagę mą zatrzymała tablica przy krawężniku, na której było napisane „Przestrzegaj przepisy drogowe" (zamiast: przepisów drogowych)? A więc przez kogo czy przez co byłem zdalnie kierowany lub sterowany, że samochód nie zatrzymał się na moich zwłokach.

Odpowiedziałem:

— Był pan kierowany przez tego, co nie zna podstawowych praw gramatyki. Zaś wie, jaki mandat panu wsunąć za przekraczanie jezdni. Czyli był pan zdalnie kierowany przez urzędnika miejskiej rady narodowej.

— No dobrze — zapalił się pan Staszek. — A kto mną kierował wczoraj, jak pan mówi: „zdalnie", gdy odwiedziwszy żonę w szwalni mogłem owinąć dookoła siebie piętnaście metrów rypsu, a nie uczyniłem tego. Nie uczyniłem zaś dlatego, że nogi się pode mną trzęsły, podobno byłem blady jak papier, żona myślała, że dostałem palpitacji serca. Albo kto mną zdalnie steruje rano, przed pójściem do pracy, jeśli przed dzwonieniem budzika miotam się w łóżku jak rakieta w wyrzutni, i roi się mi, że powinienem pędzić do sklepu po chleb i po mleko oraz wsterować się w ogonek, z którego wysteruje mnie zdalnie kierujący głos mej połowicy, która niebawem przyjdzie z nocnej zmiany: „A teraz, Stasieczku jeśli kupiłeś nabiał i chleb, to nie zapomnij poprosić o wędzonego dorsza, ale suchego, nie z wody! Nie z wody, bo ekspedientka ma zwyczaj moczyć wędlinę rybną, żeby więcej ważyła. A gdy otrzymasz wędzonego dorsza, to kup kiełbasy myśliwskiej. Ale naprzeciwko, bo tylko w tym sklepie nie jest ona twarda jak opona samochodowa lub kabel. A jeśli jatka mięsna będzie w tym sklepie czynna, to nie zapomnij poprosić sklepowego o instrukcję ministerstwa handlu wewnętrznego, żebyś wiedział, na czym polega różnica między mięsem świeżym a nieświeżym. I jaka część tuszy mięsnej jest po jakiej cenie, żeby ci do schabu nie wkleili kawałków tańszej głowizny, zamiast krzyżówki nie podali szpondra z łatą, chociaż bez kości. A także byś wiedział, czy po wepchnięciu palców w wołowinę zagłębienia prędko się wyrównują, czy nie, czy mięso jest świeże, czy zmumifikowane albo, jak wolisz, zmacerowane. Wszystkiego się dowiesz z tej instrukcji: Ile prawdziwego pieprzu ma wejść do wyrobów, ile ziołowego, jaki ma być procent wody, a jaki mięsa. Tego wszystkiego nie muszą wiedzieć ci, co mięsa nie kupują i nie jedzą. Ale książka ministerstwa handlu wewnętrznego jest jak każda książka twoim przyjacielem i tajemnic przed tobą nie ma. A jak się już załatwisz z mięsem, to skocz po pończochy do repasacji. Trzy dni temu je kupiłam i już po nich! Repasatorka na pewno nie śpi, bo przez całą noc wiła wianki żałobne i kwiaty z bibuły, żeby sobie dorobić na boku, bo jej syn, robi mature, a on musi ją zdać, nawet gdyby jej nie zdał.

— Wszystko dalej jest jasne — przerwałem panu Staszkowi. — Oczka w pończochach puściły, bo przecież nie są ze stali. Grafitu do elektrycznych maszynek do golenia brak, bo go ludzie wykupili. Haczyk przy biustniku żony urwał się, więc trzeba założyć gumę od starej dętki rowerowej. Kalesony antyreumatyczne z NRD prują się, też warto oddać do repasacji. Ale oto budzik dzwoni po raz drugi, trzeba będzie przesunąć wskazówkę o jeszcze jeden kwadrans, po czym wymościć miejsce w swej wyrzutni na tapczanie, bo żona wnet przyjdzie ze zmiany.

Oczy mego współtowarzysza podróży powilgotniały.

— Jakbyś pan zgadł! Ludzie walą do pracy, już słyszysz ryk kierownika działu, który niczego poza ryczeniem nie umie. — Tu pan Staszek przyłożył dłoń do ucha, bo właśnie rozległa się nowa informacja pani spiker, tym razem tycząca dziecka z zielonym piórkiem, pozostawionego na torze trzecim przez panią w kostiumie czerwonym, bawiącą właśnie na pierwszym peronie z mężczyzną w różowym berecie. Mój interlokutor nie zareagował na tę informację, tylko ciągnął dalej: — A tu, proszę pana, budzik dzwoni, kierownik działu, który koryguje twą osobę za nic mając przepisy o bezpieczeństwie i psychicznej higienie pracy, targa tobą jak pies flakiem w ciemnej ulicy.

— I za chwilę — podjąłem ten wątek — przyjdzie pana żona, położy się na tapczanie, lecz zaraz wstanie, żeby zacząć reperować ten segmentowy mebel do spania, który jest równocześnie legowiskiem, bieliźniarką, kanapą, a także z powodu braku miejsca w tej klatce dla kanarków, którą nazywamy kawalerką w blokach, pomocniczym stołem, daje się przesegmentować na dwa gustowne foteliki, wywracające się za każdym dotknięciem oraz deskę do prasowania spodni i trzy półki na kwiaty.

Ufff!

Obudziłem się o godzinie drugiej w nocy, szczęśliwy, że to sen, nie jawa. Wcale przecież nie byłem żadnym panem Włodkiem, ani nie znałem żadnego pana Staszka. I nie na stacji w Działoszynie ryczą tak megafony, lecz na dworcu w Warszawie. Nie musiałem też reklamować skamieniałego cementu portlandzkiego, bo nasz budynek zakładowy został w ciągu trzech dni zmontowany z prefabrykatów gipsowych. Całe to zdarzenie wraz z dialogiem przyśniło mi się, bo właśnie zaczynały się zapalać moje migdałki. Więc żeby jak najprędzej wypędzić chorobę, zażyłem trzy nitrofurazony, podwójną dawkę makrocykliny i żeby dalej spać, wziąłem środek uspokajający. I przespałem dwadzieścia cztery godziny.

Obudziłem się tak zdrów i lekki jak astronauta po przekroczeniu strefy przyciągania ziemskiego. No i szczęśliwy, że cały ten koszmar ze zdalnym codziennym kierowaniem był tylko sennym majaczeniem. Majaczeniem nadającym się do przetworzenia go na niefrasobliwe opowiadanie do poduszki. To właśnie, które przeczytaliście.

Henryk Płóciennik — Kwiaty *Fot. J. Grabik*

LUCYNA SKOMPSKA

Śnieg

to przyszły do nas
wdzięczne baśniowe zwierzęta
o wełnistych grzbietach
przecież nasze pokoje
nie mogą mieć granic
nie będzie ścian złączonych
i podwójnych łoży
a tylko sypialnie
sypialnie bez końca
nie ma żadnych przedmiotów
w które by czas płynął
tylko my w śniegu
jakby w zatrzymaniu
lecz nie ma stron świata
drzew oszronionych
i znaków na niebie
tylko my stoimy
pośród ruchomych pościeli
na grzbietach niedźwiedzi
śmiertelnie ranionych

1967

BARBARA KLIOMBKA

LUDZIE XXV-lecia

Stanisław Grabowski

Urodził się w Łodzi, tu w 1954 roku uzyskał dyplom na Wydziale Reżyserskim Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej. W tym też roku rozpoczął pracę w Wytwórni Filmów Oświatowych, z którą związany jest do dziś. Ma na swoim koncie 71 filmów krótkometrażowych.
W r. 1965 otrzymał Nagrodę WRN w Łodzi.

Z nazwiskiem tym zetknęłam się po raz pierwszy oglądając krótkometrażowy film zrealizowany w Wytwórni Filmów Oświatowych pt. FLISACY.

Początkowy okres pracy reżyserskiej Stanisława Grabowskiego wiąże się z filmami o tematyce folklorystyczno-etnograficznej. W latach pięćdziesiątych powstawało ich dość dużo w WFO. Realizowane były nie tyle przy współpracy etnografów, ile pod ich ścisłą kontrolą. Bardzo to ograniczało inwencję reżyserów, powstawały filmy ściśle specjalistyczne, przeznaczone dla wąskiego grona odbiorców.

Do tematu poświęconego flisakom, reż. Grabowski podszedł zupełnie inaczej. Oparł się na materiałach opracowanych w Muzeum Etnograficznym dotyczących miejsc pobytu i specyfiki pracy flisaków, ale na planie obywał się już bez pomocy etnografa.

Trudno jest ten film opowiedzieć, tak samo jak nie da się opowiedzieć poezji. Życie flisaków – to wszystko. Nie podejmuję się oddać słowami liryki wypływającej ze stosunku autora filmu do tych ludzi, do ich mało już dziś znanej pracy, z pięknej kompozycji filmu i wspaniałych zdjęć, których autorem jest Janusz Czecz, stały współpracownik, operator wszystkich filmów reż. Grabowskiego.

Jeśli nagrody przyznane filmowi mogą być miernikiem jego wartości, to trzeba dodać, że film ten otrzymał ich aż trzy, i to takie jak nagroda Argentyńskiego Stowarzyszenia Realizatorów Filmowych na Festiwalu w Mar del Plata w 1963 r. i w tym też roku BRĄZOWY SMOK na III Ogólnopolskim Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie.

Skłonność do pięknej kompozycji, która tak zachwyca we FLISAKACH dała o sobie znać we wcześniejszym filmie reż. Grabowskiego – MELODIE, KTÓRE NIE ZAGINĄ. Jest to film o współczesnych Kolbergach – małżeństwie Sobieskich, którzy na rowerach przemierzyli Polskę, aby odnaleźć nieznane jeszcze melodie ludowe, zapisać je, utrwalić dla potomności.

Film ten łączy się z inną pasją reżysera – muzyką, jej to poświęcił kilka następnych filmów. Fascynacja muzyką znalazła swój wyraz w filmie MUZYKA DAWNA – dającym przegląd staroci muzycznych ze szczególnym uwzględnieniem dawnej muzyki polskiej. Prezentuje również dawne instrumenty muzyczne. Do źródła dźwięków-instrumentów muzycznych, tym razem współczesnych powraca w filmie SPOTKANIE Z ORKIESTRĄ.

Zainteresowanie kulturą, sztuką w następnych latach precyzuje się w prezentowaniu ludzi tworzących tę kulturę. Pojawia się cykl portretów. Pierwsze z nich poświęcone są współczesnym pisarzom polskim. Oparte na konsultacji naukowej Ryszarda Matuszewskiego przedstawiają sylwetki pisarskie IGORA NEWERLEGO, WOJCIECHA ŻUKROWSKIEGO, JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA. Cechą wspólną tych filmów jest sposób prezentowania postaci. Pisarz ukazany jest w sytuacjach dla niego charakterystycznych, jak i zwykłych, codziennych. Prezentowane są miejsca pobytu, miejsca twórczości, sprzęty, drobne przedmioty, stwarzające niepowtarzalny klimat i ludzie, ludzie najbliżsi, wierni przyjaciele i czytelnicy, surowi nieraz odbiorcy. Podbudowane wypowiedziami prezentowanych postaci tworzą pełne portrety, nieocenione dla współczesnych i przyszłych czytelników ich dzieł.

Reżyser Grabowski portretuje nie tylko współczesnych. Sięga do przeszłości. Wydaje się, że chciałby w swej twórczości filmowej ukazać tych wszystkich ludzi znaczących i wielkich którzy rozsławili imię Polski swoim talentem, swoją pracą.

Z okazji setnej rocznicy urodzin Marii Skłodowskiej-Curie powstają dwa filmy – MARIA SKŁODOWSKA-CURIE I W STULECIE WIELKIEJ UCZONEJ. Filmy te zrealizowane przy udziale Centre Audio Visuel de St. Cloud we Francji, ukazują miejsca pobytu i pracy naszej wielkiej rodaczki, oraz przedstawiają wypowiedzi światowej sławy uczonych oceniających rolę i doniosłość jej odkryć dla nauki i ludzkości. Wzbogacone o nieznane dotąd w Polsce fragmenty filmowych dokumentów tworzą nieszablonową biografię uczonej.

Wyjazdy zagraniczne są dla Stanisława Grabowskiego okazją i jak sam mówi, obowiązkiem, odnajdywania, wyławiania śladów polskości i skrzętnego ich notowania na taśmie filmowej. Dzięki tej pasji powstał film poświęcony polskiej emigracji we Francji – POLSKIE MONTMORENCY. Ukazuje on miejsca pobytu i działalności Polaków Wielkiej Emigracji po r. 1831 we Francji oraz miejsce ich ostatecznego spoczynku – cmentarz w Montmorency pod Paryżem, gdzie z polskich nazwisk można wiele odczytać, cmentarz będący swoistą historią emigracji.

Odszukiwanie pamiątek, odszukiwanie dawnych, zapomnianych w chaosie pośpiesznego życia współczesnego okruchów polskości na obczyźnie, to sprawa nieodłącznie chyba związana z twórczością Stanisława Grabowskiego. Świadczą o tym filmy już zrealizowane jak również plany przyszłych realizacji.

Powstały trzy filmy o Chopinie, o jego życiu na obczyźnie. Paryż, Nohant, Karlove Vary, Mariańskie Łaźnie, Lipsk, Drezno, miejsca, pamiątki, mniej znane fakty z biografii, korespondencja, wypowiedzi ludzi mu współczesnych, takich jak – Robert Schumann, Heinrich Heine, Franciszek Liszt – to kanwa jednego z filmów – tytuł jego – MNIE TU WIATR ZAPĘDZIŁ, jest jednocześnie cytatem z listu.

Filmy następne rozwijają jakby pewne fragmenty z życia Chopina – okres paryski w filmie CHOPIN W PARYŻU i czas spędzony w Nohant w gościnie u pani George Sand – GOŚCIE CZARNEJ DOLINY.

Te dwa ostatnie filmy mogą być przykładem tego jak różnych środków wyrazowych używa St. Grabowski dla ukazania postaci. Rzeczowy, o rozbudowanej warstwie informacyjnej film CHOPIN W PARYŻU podbudowany komentarzem znanego chopinologa Krystyny Kobylańskiej i Jarosława Iwaszkiewicza jest przecież tak inny od nastrojowej, poetyckiej impresji o Nohant, gdzie komentarz stanowią dialogi ze sztuki Jarosława Iwaszkiewicza LATO W NOHANT. Dwa zupełnie różne filmy, bo różne rzeczy miały do ukazania. Łączy je muzyka Chopina w mistrzowskim wykonaniu Reginy Smendzianki.

Filmy te powinno się oglądać w jednym cyklu. Dawałoby to możność poznania prezentowanej postaci w jej wielopłaszczyznowej złożoności. Ale czy to jest możliwe? Czy możliwe jest obejrzenie w kinie zestawu filmów reż. Grabowskiego? Byłoby to interesujące. Ale na temat rozpowszechniania filmów krótkometrażowych mówiło i pisało się tak wiele, że nie chcę tu powracać do tych spraw.

Jeszcze parę słów o zamierzeniach reżysera. Łączą się one z planami zrealizowania filmu o Adamie Mickiewiczu.

Brzmi to może dziwnie, ale nie ma ani jednego filmu, nawet szkolnego, o tym polskim wieszczu narodowym.

Byłby to oczywiście cykl filmów. W dawnych planach reż. Grabowskiego mieścił się film o „Sonetach Krymskich" w najnowszych o pobycie Mickiewicza na emigracji. Być może dojdzie do zrealizowania tych zamierzeń. Na razie pracuje nad filmem o Łodzi. Łodzi, swojemu rodzinnemu miastu poświęcił Stanisław Grabowski dwa filmy: ŁÓDŹ-MIASTO NIEZNANE (realizowany wspólnie z reż. Edwardem Pałczyńskim) i ZIEMIA ŁÓDZKA.

Film zrealizowany aktualnie – ŁÓDŹ 69 ma ukazać miasto w dniu dzisiejszym oraz plany jej rozbudowy w najbliższej przyszłości. Uroczysta premiera filmu odbędzie się 22 lipca.

Cmentarz w Sceaux. Mogiła M. Skłodowskiej-Curie. Zdjęcie robocze

Fot. J. Czecz

POLONICA

POWIEŚĆ BRATNEGO PO FRANCUSKU

Nakładem wielkiej, najpoważniejszej firmy wydawniczej w Paryżu „Gallimard", ukazał się przekład powieści Romana Bratnego „Kolumbowie rocznik 20" („Avoir vingt ans a Varsovie"), w tłumaczeniu Leona Oustry. (Cena 28 fr.). „Le Monde", informując o ukazaniu się tego przekładu stwierdza, że autor, biorąc udział w polskim Ruchu Oporu został aresztowany i wywieziony do Niemiec, a powieść opisuje powstanie warszawskie 1944 roku.

POLSKO - FRANCUSKIE BRATERSTWO

Również w kronice „Le Monde" odnotowano, że nakładem warszawskiego PIW-u ukazała się pt. „Gra wojenna" książka Stanisława Strumph-Wojtkiewicza, dotycząca dziejów polskiego Ruchu Oporu we Francji i polsko-francuskiego braterstwa broni podczas drugiej wojny światowej.

W TELEWIZJI FRANCUSKIEJ O POLSCE

„Le Monde" z 27–28 kwietnia br. zamieścił entuzjastyczne omówienie audycji telewizyjnych Jean Marie Drota pt. „Journal de voyage en Pologne" („Dziennik podróży po Polsce"). Zdaniem recenzenta, Jacques Sicliera szczytowym punktem tych reportaży był odcinek poświęcony Oświęcimowi. Dalsze dotyczyły polskiej historii, plastyki oraz poświęcone były krajobrazowi małopolskiemu.

POLONICA UKRAINSKIE

W muzeum im. wybitnego poety i tłumacza, Maksyma Rylskiego, zwraca uwagę wielka ilość poloników. Znajdujemy tu m. in. „Encyklopedię staropolską" A. Brücknera, Słownik Języka Polskiego Karłowicza, Kryńskiego i Niedźweckiego, rzadkie wydania dzieł Leopolda Staffa, a także książki Władysława Broniewskiego, Juliana Tuwima, Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego, Jerzego Putramenta, Marian Jakóbca, Wacława Kubackiego, Józefa Ozgi Michalskiego, Juliana Przybosia, Seweryna Pollaka, Stanisława Jerzego Leca, Leona Pasternaka, Włodzimierza Słobodnika ze wzruszającymi dedykacjami autorów. Niektóre materiały Muzeum — np. notatki na marginesach „Kwiatów Polskich" — rzucają dodatkowe światło na zagadnienie polsko-ukraińskich powiązań literackich.

POLONICA

JERZY WILMAŃSKI

Gospodarskim „Lewym okiem"

Z obwoluty spogląda Stańczyk w czapce z dzwoneczkami — prawe oko przymknięte... No tak! Spogląda „lewym okiem"! Patrzy tak już od pięciu lat z ostatniej kolumny „Odgłosów". Jak patrzy? Na co patrzy? Z jakich pozycji patrzy? Pytań może za dużo jak na felieton — pytania może zbyt zasadnicze, ale czy nie wart ich ten właśnie tom felietonów Ćwieka, tom, w którym odbija się nasze życie?

Sam jestem felietonistą — sąsiadem Ćwieka z 11 strony „Odgłosów", jestem (jak większość konsumentów prasy) czytelnikiem „felietonowej produkcji" i wiem, że Ćwiek uprawia felieton ambitny i racjonalistyczny, że stąpa po ziemi, że pisząc o drobiazgach nieraz dotyka spraw większych...

Można by cykl „Lewym okiem" umieścić gdzieś na tym skrzydle tyraliery felietonistów, któremu przewodził zmarły już Jan Szeląg. To ten sam rodzaj, podobne spojrzenie na rzeczywistość, to samo przekonanie, że w małych nonsensach kryją się zalążki wielkich paradoksów... Felieton Ćwieka nie jest felietonem gry słów, efektownego paradoksu, zręcznej aluzji zrozumiałej dla stu wtajemniczonych. Felieton Ćwieka jest felietonem społecznym i obywatelskim.

To bardzo łatwo z pozycji konsumenta obiadów przyrządzanych przez gosposię wybrzydzać, że Ćwiek walczy z barami mlecznymi, w których „zawsze coś z nabiału dostaniesz: grochówkę ze słoniną, parówkę z kapustą i piwo"... Trudniej nie przyznać Ćwiekowi racji, gdy się z owych barów mlecznych korzysta. To bardzo łatwo wzruszać ramionami, gdy Ćwiek pisze o niedostatkach propagandy handlowej, gdy kogoś ta sprawa ani ziębi ani grzeje. Trudniej przejść obojętnie, gdy spogląda się okiem (choćby lewym) ekonomisty, gospodarza, zwykłego obywatela.

Felietony Ćwieka drukowane w „Odgłosach" zawsze budziły odzew wśród Czytelników. Bowiem pisane są nie z pozycji Wielkiego Wtajemniczonego, lecz z pozycji nas wszystkich — zwykłych ludzi, jeżdżących „pekaesem", kupujących w sklepach „emhade" i stojących w kolejce w salonie pralniczym, gdzie salonowa jest tylko wyniosłość personelu... Felietony te pisane są z pozycji tego właśnie statystycznego Polaka, który jeździ na delegację, obraduje na konferencjach, żyje życiem „swojej firmy" i pracuje „po godzinach".

I tu może właśnie tkwi źródło owej gospodarskiej, obywatelskiej postawy Ćwieka-felietonisty. Nie musi on uciekać w formalne gierki i gry słów, w zabawne aluzyjki i dowcipuszki, nie musi pisać efektownie o wszystkim i niczym... Bowiem Ćwiek-felietonista to przecież Włodzimierz Krzemiński — owszem pisarz, autor kilku książek — ale także specjalista i praktyk określonej przemysłowej branży, pracujący na określonym stanowisku, biorący na co dzień udział w „wytwarzaniu dóbr przemysłowych" co po prostu znaczy — w produkcji, zarządzaniu, konferencjach, targach i przetargach...

On się po prostu na tym zna nie jak żurnalista, lecz jak fachowiec. A że przy okazji umie obserwować, wyciągać wnioski i dobrze pisać — mamy od lat pięciu na ostatniej stronie „Odgłosów" dobry, społeczny felieton.

A teraz mamy i książkę, z której mruga do nas swoim mądrym i przekornym „Lewym okiem". Felietony Ćwieka - Krzemińskiego nie zestarzały się, choć pisane są na doraźny gazetowy użytek. Blisko 300-stronicowy tom czyta się nie jak historyczny zapis owych pięciu lat, lecz jak rzeczywistość. W połowie tylko jest to zasługą autora.

Druga część zasług należy się życiu, które mimo bojów felietonisty w dalszym ciągu raczy nas sporą porcją paradoksów większych i mniejszych. Po prostu Ćwiek im nie dał rady. Ale to już nie wina Ćwieka.

Włodzimierz Krzemiński „Lewym okiem", Wyd. Łódzkie, 1969, cena 12 zł.

Z dzienników

Dalszy ciąg ze str. 1

Bo może wtedy miałem małe pieniądze, a teraz duże? Zupełnie inaczej człowiek myśli o pieniądzach jak ma w kieszeni tysiąc złotych, a inaczej, gdy ma na przykład, sto tysięcy. Powinienem to jakoś subtelniej i precyzyjniej wyrazić, od tego jestem pisarzem i za to mi przecież płacą, ale nie mam na to zupełnie ochoty. To przecież mój intymny dziennik. Nie będę się tu zgrywał. Z Chojen pochodzę i tak samo jak B lubię knajacki język. Tylko, że każdy powinien znać swoje miejsce w literaturze; ja jestem od trochę innej roboty, chociaż mamy niby ten sam fach. Wiadomo, jaki się frez daje, takie się ma wióry. Jemu płacą za co innego, i mnie za co innego, ale fach ten sam. Więc zapewne kiedyś ładnie tę scenkę odrobię w jakiejś książce, ale tak naprawdę to mam ochotę napisać: „Ludzie. Różne cycofany miałem na swoich kolanach, ale dopiero jak bańdoch forsy trzymałem, zrobiłem się miękki w nogach".

A oni nic. Tylko rejent za biurkiem, odchrząknąwszy dwa razy, głosem pięknie modulowanym zaczy na czytać:

„Repertorium „A" nr 891/1967. Akt notarialny. Dnia dwudziestego maja tysiąc dziewięćset sześćdziesią tego siódmego roku w Państwowym Biurze Notarialnym w Morągu przed notariuszem Stanisławem M. stawili się:..."

No właśnie. Kiwam głową, gdy pada moje imię i nazwisko, imię ojca i matki mojej. I w ogóle dużo się zapowiada tego czytania, co mi wcale nie przeszkadza. Nawet pierwszy raz w życiu rad z tego jestem. Tak jak i inni, co tu siedzą ze mną. To nie może być byle jak napisane, ani byle jak odczytane. Każda rzecz musi tam być wyłuszczona, a prawdziwie ujęta. To nie ślub w Urzędzie Stanu Cywilnego, chociaż i tu i tam za biurkiem urzędnik państwowy siedzi, a wielki orzeł na ścianie gwarantuje, że się dokonuje akt urzędowy. I pieczęć będzie duża, okrągła, z orłem. Ale co tam żona; można ją mieć, można nie mieć; taki sam urzędnik tylko, że w todze, z orłem na piersi, trzy słowa powie i już nie masz żony. Co innego kiedy się ziemię kupuje z domem, z zabudowaniami, jednym słowem gospodarstwo. To nie jakiś tam ślub z kobietą, ale akt państwowy na wieki wieków, w „Księgach Wieczystych" zapisany, o których mówi mój przyszły sąsiad K: „Dla czego, panie, nazywają się wieczyste? Bo ziemia to rzecz święta, to jest rodzicielka i matka nasza. I jakby choćby skraweczek jej był pański, to wieki przeminą, a pańskim zostanie, to znaczy pańskich dzieci czy wnuków. Tak, panie jest, i nijak inaczej nie będzie. Bo ziemia jest rodzicielka i matka nasza, z niej jesteśmy wzięci i do niej wrócimy".

„Dziedzicom ziemie zabraliśmy" — oponuję.

„To nie była ich ziemia" — odpowiada zdecydowanie.

Bąkam o nowych ustawach prawnych, które regulują kto ma prawo kupować i posiadać ziemię, a kto ją traci, (ja kupiłem, bo mam uprawnienia rolnicze, skończyłem specjalny kurs, ale K. kręci głową. „Panie" — powiada w końcu — „ja też swoją ziemię oddam państwu, bo już stary jestem i piszą, że rentę mi państwo da za nią. Oddam, jak przyjdzie na to pora. Ale jakby mi kto ją chciał zabrać, sie kierę wezmę. Dobrowolnie, tak. Na siłę, nie. Ja za tę ziemię płaciłem, tak jak pan chcesz zapłacić. A mogłeś pan przehulać, przefrymarczyć, przejeździć samochodzikiem. Ale pan chcesz mieć ziemię, znaczy się, pan czujesz, że ona jest rodzicielka i matka nasza. Pan jej nie zmarnujesz".

Mógłbym oczywiście ze starym dyskutować, że to różnie jest z tą ziemią, tu i ówdzie za grosz ją można mieć, a gdzie indziej jeszcze się o nią latami procesują, kłonicami zabijają. I że w tej sprawie też się wszystko zmienia jak i w innych. Kiedyś się wydawało: możesz walić ile wlezie własną żonę, własne dziecko, no bo to „twoje prawo mężowskie i rodzicielskie". A teraz ci mówią: nie wolno. Tak samo z ziemią. Niby twoja A źle traktujesz, mogą odebrać. I akt notarialny nie pomoże.

Ale mimo wszystko będę się upierał, że to akt ważniejszy niż małżeństwo I mój Boże, że też ja to tak późno odkryłem. Wynika z tego, że w moich książkach o wsi jest jednak tylko jakieś trzy ćwierci prawdy, a nie cała. Notuję w pamięci: trzeba kogoś zapytać, czy na wsi więcej jest spraw w sądzie o majątek czy o rozwód? Ale mam i zadowolenie z odkrycia. Bo kto nie znał lepiej duszy chłopa od plebanów? A jednak i dla nich małżeństwo miało rangę sakramentu, a nie ślub z ziemią u notariusza. Więc i oni nie byli tacy mądrzy. Dlaczego tę dziedzinę już od dawien dawna pozostawili urzędnikom? I u nich coś nie grało, nie tylko w moich książkach.

Rejent czyta imię mojej żony, jej nazwisko panieńskie, datę urodzenia, imię matki i ojca. Gdybym nie przywiózł tu dziś żony, nic by nie wyszło z aktu notarialnego „Musiałby pan udowodnić" — tłumaczy rejent — „że pieniądze, które pan ma, nie są wspólną małżeńską własnością. Wspólnota ustawowa, pan wie co to znaczy?" Nieśmiało protestuję. Własnym piórem zarobiłem pieniądze, żona też to potwierdza i mówi, że zgadza się, aby ta ziemia i dom z zabudowania mi były wyłącznie moją własnością, zapisaną tylko na moje imię i nazwisko. I wcale jej tego na niej nie wymuszałem. Ona mówi, że nie lubi wsi, boi się wsi, a ja kocham wieś a nie lubię miasta. Ale rejent znowu mi tłumaczy, a ja mam ochotę wołać „O rany, chłopaki, bądźcie ostrożni Żebyście wiedzieli, ile ja nocy i dni przeharowałem, przebolałem, nieprzespałem ślęcząc nad tymi swoimi książeczkami, a ona sobie cichutko spała w swoim łóżeczku. A teraz jak przyszło co do czego, to okazuje się, że to i jej własność, jej dorobek. Tylko dlatego, że raczyła wyjść za mnie za mąż przed laty. Chłopaki, nie dajcie się nabrać".

Ale tak nie krzyczę, bo znam swoje miejsce. Do diabła, ostatnio coraz częściej znam swoje miejsce. „Tak jest w istocie, panie rejencie" — kiwam uprzejmie głową. I nawet nie drgnęła mi powieka, gdy przeczytał, że tę ziemię i dom nabywamy na zasadzie wspólnoty ustawowej.

Fot. A. Wach

A ona siedziała z tymi odsłoniętymi kolanami i jestem pewien, że w duchu była rada. I szydziła sobie z tego co jej mówiłem w samochodzie w drodze do Morągu, o wyższości sakramentu aktu notarialnego nad aktem małżeńskim.

22 maja 1967 r.

Pani Helena Zaworska napisała o mnie w jednym z czasopism, że mam „łatwość pisania".

Ciekawe, skąd ona o tym wie? Czyżby rozmawiała z moim znajomym kowalem przezwiskiem „Malawka"? To on powiedział mi: „Eh, pan to tak sobie siędzie z kartką papieru i tak się panu fajnie wszystko składa. Panu to się łatwo pisze". I nie miałem o te słowa pretensji do kowala Malawki, bo on ukończył tylko trzy oddziały szkoły powszechnej, z trudem trzyma pióro w ogromnej dłoni i porządnie się musi napocić zanim nagryzmoli swój podpis. Nie mam więc, jak powiadam, pretensji do kowala Malawki, ale do pani Zaworskiej mieć mogę.

Bo co to właściwie znaczy: „łatwość pisania"? Czy chodzi o to, że moje książki się lekko i łatwo czyta? Ależ ja cały swój trud i całą swoją umiejętność wkładam w to, aby osiągnąć tę lekkość.

Na spotkanie z czytelnikami przywiozłem kiedyś rękopis wydanej już książki. Jakież było rozczarowanie czytelników, gdy im pokazałem, że scena, którą w książce tak czyta się jakby „sfrunęła z pióra" — miała czternaście wersji, pracowałem nad nią gorzej niż katorżnik, lepiłem, kleiłem rękopis, przestawiałem szyk słów i od nowa przepisywałem, żeby wciąż zmieniać. Potem wyszło z tego zaledwie cztery strony, o tak, bardzo lekkie. W czytaniu. Jakby same się napisały. I oto właśnie mi chodziło. Pisarz, w którego książce mozół może dostrzec czytelnik i gdzie raz po raz potykamy się jak w lesie o wystające korzenie — ten pisarz, moim zdaniem, nie dość pracował nad książką. Pisarz, którego warsztat i trud jest już na pierwszy rzut oka widoczny, moim zdaniem — posiada właśnie niedostatki warsztatu. I mo że usłyszeć to, co ja usłyszałem, gdy pokazałem rękopis powieści: „Skoro aż tyle pracy kosztowało pana napisanie tych czterech stron, to czemu pan nie zmieni zawodu?"

Kiedy przychodzę do teatru i oglądam tańczącą baletnicę, nie chcę widzieć na jej twarzy potu i zaciśniętych z wysiłku ust, ale uśmiech. Podziwiam ją za to, że tańczy tak lekko, jakby ten taniec nie wymagał żadnego wysiłku. Ja widz, odbiorca — nie muszę pamiętać że lekkość tanecznicy została osiągnięta potwornym wysiłkiem kilku miesięcy, a nawet lat ćwiczeń. Tancerz, którego wysiłek i trud widać na scenie — powinien z niej zejść co rychlej. Tylko krytyk, człowiek teatru, zdaje sobie sprawę, ile kosztuje osiągnięcie tej lekkości i to musi brać pod uwagę przy ocenie. Dlatego nie mam pretensji do kowala Malawki, ale dziwnie słyszeć od człowieka, zawodowo zajmującego się literaturą, zarzut o „łatwości pisania". Co powiedzielibyście o krytyku, który by miał pretensję do tancerza, że mu się „łatwo tańczy"?

Tak, proszę pani. Mnie się naprawdę pisze łatwo. Gdyby pisało mi się trudno, zostałbym archeologiem, a nie pisarzem. Przestańmy robić z pisarzy jakichś uebermenschów, super-ludzi, o jakiejś nadzwyczajnej wrażliwości czy mądrości, którym książki dyktuje „duch święty". Otaczają nas ludzie tak samo wrażliwi, tak samo mądrzy i głupi jak pisarze. Ale pisarza od innych ludzi różni to, że on potrafi te swoje myśli i wrażenia sformułować jako dzieło sztuki, nadać im kształt słowny.

Moją prywatną pasją jest rzeźba ludowa w drzewie. Sam też trochę rzeźbię. Kiedy odwiedzam Czerwińskiego czy Lameckiego, wielkich ludowych artystów, nie mogę się napatrzeć jak szybko, po prostu paroma ruchami dłuta czy kozika, potrafią kawałkowi drzewa nadać odpowiedni kształt. Oni figurkę ludzką rzeźbią dwa-trzy dni, a ja na postać madonny straciłem całe lato. Nigdy nie pomyślałem, że im się „łatwo rzeźbi", mnie „trudno". Zawsze sądziłem po prostu, że oni mają talent, a ja nie.

Pytając o moją rzeźbę Lamęcki chichoce: „Cztery miesiące na taką figurkę? Ej, nie wyżyłby pan z rzeźbienia". Wzruszam ramionami i odpowiadam. „Bo ja rzeźbię dla przyjemności. A żyję z literatury". I przypomniawszy sobie, że Lamęcki pisze przecież znakomite pamiętniki, dodaję nie bez złośliwości: „A pan, panie Lamęcki, nie wyżyłby z literatury. Cały rok pisał pan jeden kajet". I wtedy Lamęcki mruczy: „Ja piszę dla przyjemności, a tylko rzeźbię dla pieniędzy".

Ja piszę dla pieniędzy, a rzeźbię dla przyjemności, on pisze dla przyjemności, a rzeźbi dla pieniędzy. A dzieje się tak dlatego, że mnie się pisze łatwo, a rzeźbi trudno, natomiast jemu na odwrót. Pani Zaworska jednak chciałaby nas przekwalifikować: ze mnie być może zrobić rzeźbiarza, a z Lamęckiego pisarza. Ale nie tylko ja, on też by chyba zaprotestował. Bo z czego byśmy żyli?

Takie artykuły, jak pani Zaworskiej, budzą we mnie tylko złość. Rozeszła się już chyba wieść, że dom kupiłem i ziemię, bo przyszedł do mnie kolega R. z prośbą o pożyczkę. Powiedział z przekąsem: „Dom sobie, słyszałem, kupujesz i całe gospodarstwo. Dobrze ci się wiedzie w tej literaturze. A ja bracie już od roku tylko na stypendiach twórczych żyję, przez ten rok bracie napisałem tylko jedno małe opowiadanie". Powiedziałem mu po chamsku: „A nie próbowałeś, stary, trochę rzeźbić?".

Aż pół dnia dziś się we mnie gotowało ze złości po tej rozmowie. Ale tu, w tym dzienniku, mogę napisać o tym co myślę naprawdę.

Dalszy ciąg nastąpi

Kronika klubo–kawiarni w Wilamowie

Od Redakcji:

Klubo-kawiarnie weszły na trwałe do pejzażu naszego kraju. O znaczeniu, roli i funkcji tych placówek napisano już wiele, przeważnie dobrego. Redakcja nasza publikuje dziś kronikę klubo-kawiarni w Wilamowie (pow. Poddębice), która stanowi swoistą kronikę życia kulturalnego całej wioski. Dokument ów jest zapewne niepełnym, lecz jakże charakterystycznym i wymownym obrazem współczesnej wsi roku 1968.

Młodzież z Wilamowa i okolicznych wiosek urządziła wieczorek przy gitarze z piosenkami. 35 osób.

W sali gromadzkiej odbyło się spotkanie z ambasadorem Związku Radzieckiego. 400 osób.

Zespół Koła ZMW wystawił sztukę pt. „Zagłoba swatem". Przedstawienie wypadło na piątkę. Młodzi aktorzy cieszą się w wiosce dużym uznaniem. 300 osób.

Zabawa ludowa z występami artystycznymi. Udział wzięli przedstawiciele z Zakładów im. Marchlewskiego w Łodzi.

W niedzielę Teatr Ziemi Łódzkiej przedstawił sztukę pt. „Ostry dyżur". Ludność okolicznych wiosek, która przybyła była bardzo zadowolona. Ludzi bardzo dużo.

W Wilamowie odbył się odpust. Dlatego OSP urządziła zabawę taneczną — 150 osób. Odbyły się występy studentów z Łodzi. Dużo widzów.

Został wyświetlony film pt. „Porzucona". Chętnie patrzyły na ten film kobiety.

Odbyło się zebranie gromadzkie. Omawiano sprawy rolnicze i wybrano stróża.

Wyświetlono film „Beatlesi". Film ten cieszył się wśród młodzieży i starszych wielkim uznaniem dlatego przybyło bardzo dużo ludzi. 80 osób.

Sztukę „Niemcy" wystawił amatorski teatr ZNP w Kwidzyniu. Wejście bezpłatne. 90 osób.

Zostały wyświetlone dwa filmy: „Ostatni kowboj" i „Ostatni kurs". Filmy się bardzo podobały i widzowie pełni wrażeń poszli do domu spać.

Rozegrano zawody w tenisie stołowym. Chłopcom do gry dziewczęta wtórowały piosenkami.

W Klubie wystawa książek. Kupiono wiele książek z „Tygrysem" i rolniczych. Odbyło się spotkanie z literatem Tadeuszem Papierem. Literat mówił jak powstaje książka. Słuchacze byli bardzo zadowoleni.

W świetlicy odbył się teatr pt. „Pobożna Marta". Teatr bardzo się podobał. Po teatrze mała kawa i dyskusja. Osób było 150.

Został wyświetlony film „Popiół i diament". Po filmie dyskusja. Starsi wspominali okupację i powojenne czasy.

Wykład na temat „Atmosfera w domu". Prowadziła pani M. Sońta. Obecnych 50 osób.

Wieczorek taneczny przy adapterze. Konkurs tańca. Najlepsza para otrzymała czekoladę za 20 zł.

W sali odbyła się zabawa taneczna. Udział brali prawie wszyscy mieszkańcy Wilamowa. Młodzież bawiła się grzecznie, świeciła przykładem. Nawet nikt nie przyniósł z sobą wódki. Dochód z tej zabawy przeznaczono na zakup nowego telewizora.

Młodzież przy kawie bardzo wesoło dyskutowała na temat oglądanego filmu „Gładka skóra".

Ochotnicza Straż Pożarna w Wilamowie urządziła zabawę taneczną. Do tańca grał zespół „Luna" z Koła.

Dyskutowano na temat festiwalu w Opolu i słuchano radia. 35 osób.

Uczestnicy wycieczki do Malborka opowiadali swe wrażenia i oglądano pamiątkowe zdjęcia.

Odbyła się dyskusja nad książką „Spotkanie pod zegarem", gdyż książka się wszystkim podobała.

W świetlicy odbyło się zebranie mieczarskie, na którym dokonano wyboru nowego mieczarza.

Odwiedził nas Teatr Ziemi Łódzkiej. Niestety, ku wielkiej rozpaczy widzów, przedstawienie nie odbyło się, gdyż było zbyt zimno na sali.

Wyświetlono film pt. „Życie małżeńskie". Starsze pokolenie uznało film za niezbyt zrozumiały, natomiast współczesne pokolenie wsi zrozumiało film według intencji reżysera.

W dniu dzisiejszym powstała w Wilamowie sekcja dyskusyjnego klubu filmowego.

Zorganizowano wyjazd na rowerach do Rożniatowa na drugą część filmu „Winnetou". Mimo, że padał deszcz młodzież była bardzo zadowolona, bo Winnetou podziałał jak piorun.

Część młodzieży udała się do pobliskiego lasu, by zgodnie z tradycją wziąć udział w bójce. Była to bowiem niedziela palmowa.

Zebrano się w czytelni gdzie jedni czytali książki inni przeprowadzali rozgrywki szachowe.

Polka z książkami

Grządki

Na grządkach jak w życiu — wszystkiego po trochu.

Oto cebula, przez którą tylko łzy. Patrzy na nią z ukosa sam nie lepszy, czosnek smagławy, elegancik zarozumiały. A marchew poczerwieniała jak dziewczyna, osłoniła się bujną zielenią, ale do czasu. Słonecznik, śmieszek niepohamowany, aż się przygarbił z uciechy. Wesoło mu od rana do wieczora: przedrzeźnia maki, ubrane weselnie. Bez myślne modnisie, tłoczą się i chichoczą. Dynia, hultajka od urodzenia, rozwaliła się w bruzdzie, przytuliła się pod łopuch, żeby słońce nie przypiekało. Takie sąsiedztwo zmusza burak do wstydu, bezradnie rozchylił liście. Gruboskóra brukiew, zadowolona z siebie, tak się nadęła, jak gdyby była tu najważniejsza. Koper, jednoroczniak beztroski, który wyrósł ponad wszelki umiar, cały żółto-piegowaty, przebiega z grządki na grządkę. Ogórki cicho przykucnęły niczym szajka dzieci, które nie mogą nacieszyć się zabawą w chowanego. Kapusta przysiadła zmęczona, po macierzyńsku rozkładając dziurawy podołek, i zamyśliła się.

Na grządkach wszystkiego po trochu.

☆ ✲ ☆

Ta liryczno-refleksyjna notatka poetycka pochodzi z tomu prozy Sokrata Janowicza, wydanego w tym roku pt. „Zagony" przez Białoruskie Tow. Społeczno-Kulturalne w Białymstoku przy pomocy Wydziału Kultury Woj. Rady Narodowej.

Zagon, jak wiadomo, to pas ziemi uprawnej, ograniczony bruzdami, w ogrodzie to grządka. Sokółka i Krynki w woj. białostockim stanowią odnośniki do uczuciowej zawartości tomu.

Na książkę utalentowanego i w wielu wypadkach dojrzałego prozaika (ur. w 1936 roku) składają się właśnie zwarte małe prozy poetyckie, dowcipna proza satyryczna i dłuższe opowiadania o tematyce współczesnej, chłopskiej — o wsi, o awansie społecznym.

W niektórych partiach opowiadań przydałaby się może większa zwięzłość, zwłaszcza w prowadzeniu dialogów.

Janowicz prezentuje własny świat, dużą umiejętność obserwacji, rozmaitość form artystycznej wypowiedzi.

Białostocczyzna ma kilku poetów białoruskich, prozatorski debiut Janowicza świadczy o tym, iż przybył tamtemu środowisku tęgi prozaik.

JAN HUSZCZA

Prawda i mity o Marlenie Dietrich

W szwajcarskim piśmie „Schweitzer Illustrierte" ukazał się wywiad Louis Witnitzera ze znaną piosenkarką i aktorką filmową Marleną Dietrich.

W salonie swego mieszkania przy Park Avenue w Nowym Jorku, siedzi przede mną w głębokim fotelu, rzucając od czasu do czasu ironiczne spojrzenia. Stworzono wokół niej niemało legend i nieraz nie sposób oddzielić mitów od prawdziwych epizodów z jej życia...

Marlena Dietrich mogłaby wieść spokojne życie w jakimkolwiek romantycznym zakątku świata. Jednakże nieustannie podróżuje po Ameryce i całej Europie, wykonując w półtorej godziny, w przepełnionych salach, swoje urzekające utwory piosenkarskie.

Niemka z pochodzenia, była zawsze nieubłaganą i wojującą przeciwniczką nazistów. Ani groźby matki, przebywającej w ówczesnym Reichu, ani pochlebstwa Ribbentroppa, który odnalazł ją w Londynie i nakłaniał do powrotu do Niemiec, nie zmieniły jej poglądów politycznych.

W okresie drugiej wojny światowej Marlena Dietrich podbiła serca Amerykanów, podnosząc na duchu żołnierzy US Army, walczących przeciwko faszyzmowi. Po wojnie Amerykanie odznaczyli pieśniarkę medalem „Za zasługi", Francuzi — orderem Legii Honorowej. Podziwiali ją generałowie, przyjaźniła się z Somersetem Maughamem, Cocteau, Ernestem Hemingwayem.

☆ ✲ ☆

Pytanie: Rozpoczęła pani działalność sceniczną, jako piosenkarka kabaretowa. Dziś, po 40 latach, jest pani znaną pieśniarką estradową. Jakiego zdania jest Marlena z roku 1969 o Marlenie z roku 1920?

Odpowiedź: Jestem szczęśliwa, że nie muszę kręcić zdjęć do filmów. Z reguły obsadzano mnie w rolach prostytutek z tkliwym sercem. Nie leżało to w moim charakterze.

Pytanie: A jaki pani ma charakter?

Odpowiedź: Pogodny. Zbliżony do charakteru włoskiej aktorki, Giulietty Massiny. Bez satysfakcji grałam role, które narzucali mi producenci filmowi, schlebiając gustom publiczności: nieczułego wampira w filmie „Błękitny anioł", wiecznej awanturnicy w „Szanghaj Ekspress", czy nawet „staruszki z seksem"...

Pytanie: Dlaczego nie chce pani występować w Niemczech zachodnich?

Odpowiedź: Pozostało tam jeszcze wielu nazistów. Nienawidzą mnie. I z wzajemnością.

Pytanie: W roku 1934 przyjęła pani obywatelstwo amerykańskie. Już od dawna ma pani luksusowe mieszkanie w Nowym Jorku, ale niezmiernie rzadko pani w nim mieszka. Dlaczego?

Odpowiedź: Nie chciałabym źle mówić o Ameryce. U zarania mojej kariery przyjął mnie ten kraj bardzo serdecznie. Spłaciłam dług wdzięczności, jeżdżąc w czasie wojny z koncertami na wszystkie fronty — do Włoch do Francji, do Północnej Afryki. Śpiewałam dla żołnierzy. Od tamtych czasów w Ameryce wiele się zmieniło: Johnson, Wietnam, problemy rasowe. Niekiedy wydaje mi się, że powróciłam do Niemiec lat trzydziestych. W takich momentach wstydzę się swego amerykańskiego obywatelstwa. W okresie wojny całowałam, a jakże, amerykańskich żołnierzy częściej, aniżeli jakakolwiek inna kobieta. Jednakże nie pojechałabym do Wietnamu, żeby tam znów ich całować. Skomponowałam nawet pacyfistyczną piosenkę, która w Ameryce nie zawsze jest dobrze przyjmowana. „Biała trawa" — tak ją nazwałam. Śpiewam w niej o pewnym amerykańskim żołnierzu, który powraca z Wietnamu do kraju. Jego żona nie żyje, dom spłonął, ale on nieustannie podśpiewuje: „Zdaje się, że jesteśmy bliscy zwycięstwa"....

Pytanie: Jaki postępek w życiu wydaje się pani dzisiaj najbardziej szokujący?

Odpowiedź: Gdy uczyłam się jeszcze w szkole teatralnej w Berlinie, poszłam któregoś dnia do znakomitego Maksa Reinhardta i zażądałam kategorycznie: „Chcę grać w teatrze!". „Tylko tyle"? — spytał. „Tak!" — powiedziałam. „I to możliwie jak najprędzej!". Był zaskoczony moim tupetem i dał mi pierwszą rolę... Nigdy nie odznaczałam się nieśmiałością, ale ten mój postępek był najbardziej zuchwały ze wszystkich.

Pytanie: Mogła pani inaczej ułożyć sobie życie. Czy nigdy się pani nie zastanawiała nad tym?

Odpowiedź: Oczywiście. Zastanawiałam się. Moja pasja do teatru była uniesieniem młodości. Nigdy nie uważałam siebie za aktorkę z prawdziwego zdarzenia. Wydaje mi się, że mogłabym bez żalu wyrzec się i kina i teatru.

Pytanie: Dlaczego nigdy nie występuje pani w telewizji?

Odpowiedź: Nie lubię telewizji. Jeśli ludzie przychodzą mnie słuchać, to także dlatego, że nie słyszą mnie i nie widzą w telewizji. Poza tym jest mi potrzebny stały kontakt z publicznością. Bez tego nie mogłabym występować...

„Cicero" prosi o rentę

Słynny szpieg „Cicero", który w okresie drugiej wojny światowej sprzedał Niemcom tajne dokumenty, znajdujące się w safesach ambasady brytyjskiej w Ankarze, mieszka obecnie w Monachium.

„Cicero" zdobywał potrzebne mu informacje szpiegowskie, wykorzystując naiwność brytyjskiego ambasadora, u którego pracował w charakterze lokaja. W ciągu wielu nocy, gdy pod wpływem silnych środków nasennych, które lokaj dosypywał mu do herbaty, ambasador zapadał w kamienny sen, „Cicero" wykradał mu klucze od fasetów i fotografował dokumenty z napisem „ściśle tajne"...

Elizar Bazna, pracujący w owym czasie pod kryptonimem „Cicero" ma dziś 64 lata. Jedynym źródłem utrzymania byłego agenta niemieckiego jest zasiłek dla bezrobotnych. Obecnie robi on starania o otrzymanie renty elementa nej, która — jego zdaniem — należy mu się za pracę w nazistowskich Niemczech.

„Cicero" w dalszym ciągu uparcie milczy o 150 tysiącach funtów szterlingów, które wypłacili mu naziści w r. 1944 za spełnione „usługi". Pieniądze te, jak to się później okazało, były rzekomo fałszywe. Jednakże b. pracownik ówczesnej ambasady Niemiec hitlerowskich w Ankarze, który te pieniądze wręczył Baznie, utrzymuje, iż były one autentyczne. Dziś mieszka on w Austrii, gdzie też udzielił prasie niniejszego wywiadu.

(„UNITA" — Rzym")

jeszcze inni oglądali telewizję i tak upłynął dzień.

Młodzież pracowała w czynie społecznym przy uporządkowaniu placu przed GRN oraz klubo - kawiarni.

Zgodnie z tradycją młodzież stała przy grobie w kościele. Odbyło się zebranie walne OSP, gdzie również młodzież wstąpiła w jej szeregi.

W naszym klubie odbyło się spotkanie z mieszkańcami wsi, którzy brali udział w drugiej wojnie światowej. Wśród nich byli i tacy, którzy brali udział w walkach o Warszawę i Berlin. Ci którzy byli w obozach opowiadali o Majdanku i Oświęcimiu.

Przedstawiciel PTTK wygłosił prelekcję pt. „Poznajmy swój kraj". Pytano o dąb „Bartek" i o to gdzie są hodowane żubry i o miejscowości najbardziej zdrowotne.

Odbyła się dyskusja na temat książki S. Dygata pt. „Disneyland".

Wieczorem odbyły się ćwiczenia straży pożarnej. Strażacy defilowali przed ludnością Wilamowa. Następnie spotkanie przy kawie. Był przedstawiciel straży z Poddębic.

W dniu 1 maja, wieczorem, w klubie, odbyło się spotkanie towarzyskie. Znalazł się gitarzysta i akordeonista i wspólnie bawiono się do późnej nocy. Jeden z mieszkańców wsi opowiadał jak w 1905 roku był w tym czasie w Łodzi. Mówił o barykadach i kozakach carskich, którzy ranili i zabijali defilujących robotników. Młodzież z niedowiarą słuchała tych wypowiedzi.

Oglądano telewizję. Młodzieży podobały się piosenki polskie i rosyjskie. Dyskutowano nad możliwością sprowadzenia do klubu z Łodzi piosenkarki, która wykonałaby najnowsze melodie. Postanowiono zwrócić się do GRN o pieniądze i poparcie naszej inicjatywy.

Koło Gospodyń Wiejskich zorganizowało pokazowe krojenie fartucha. 40 osób.

W kinie „Wilamowianka" został wyświetlony film „Krzyżacy". W dyskusji były głosy, które stwierdzały, że książka była ciekawszą lekturą. 60 osób.

Został przeprowadzony odczyt na temat „Jak się zachować w towarzystwie". Odczyt ten był bardzo interesujący i przydał się młodzieży. Pytania padały jak grad. 40 osób.

Zorganizowano w Klubie spotkanie z przedstawicielem prasy z Pabianic. Młodzież żywo interesowała się jak powstaje gazeta.

Teatr sensacji w telewizji zgromadził wielu mieszkańców Wilamowa. Oglądano sztukę „Pojedynek". Po programie dyskusja wykazała, że widowisko nie było interesujące dla mieszkańców wsi. Były głosy, które mówiły, że we współczesnych sztukach zarówno sensacyjnych jak obyczajowych nie ma problematyki wiejskiej.

Oglądano sztukę teatralną szwedzkiego autora. Wywiązała się dyskusja czy główna bohaterka postąpiła słusznie rozwodząc się ze swoim mężem.

Zorganizowano wieczorek dla młodzieży, która ukończyła szkołę.

Odbyło się spotkanie z majorem Pietką. Młodzież zadawała wiele pytań na temat Wojska Ludowego. Po spotkaniu ZMW urządził wieczorek taneczny na pożegnanie chłopca, który odchodził do wojska.

Niedziela. Rano o dziewiątej w klubie zebrali się miejscowi rolnicy, aby obejrzeć program dla rolników. Po audycji dyskutowano nad nowymi metodami w wychowie trzody chlewnej. Jeden z rolników zapoznał zgromadzonych ze swoimi osiągnięciami w gospodarstwie. 35 osób.

Odbyła się próba orkiestry dętej. Na próbach jest zawsze komplet ludzi, którzy chętnie słuchają melodii. Na koniec na prośbę publiczności orkiestra dwukrotnie odegrała piosenkę pt. „Czerwone maki". 40 osób.

Młodzież oglądała spektakl poetycki. Dyskutowano na temat twórczości młodego pokolenia polskich poetów.

Jeden z mieszkańców Wilamowa, który mieszka czasowo w Łodzi, opowiadał dziś o tym jak robotnicy spędzają wolny czas.

Oglądano ciekawy program telewizyjny. Po zakończeniu programu męska część mieszkańców Wilamowa dyskutowała nad szansami polskiej ekipy olimpijskiej w Meksyku. 46 osób.

Został wyświetlony film pt. „Szesnasta wiosna". Młodzież domagała się, żeby więcej takich lipnych filmów nie wyświetlano.

Otwarcie nowego klubu. Występy zespołu wokalnego — „Zgaduj zgadula". Otwarcia dokonał prezes GRN ob. Karolak. W otwarciu wzięły udział władze powiatowe.

Dziś dyskutowano na temat najnowszych przebojów big-beatowych i o piosenkarzach.

Zebranie rolników i dyskusja na temat nowych sukcesów w rolnictwie. Zasięgnięto porad od miejscowego agronoma. Ustalono termin konkursu orki. Po zebraniu wszyscy oglądali w telewizji film „Siódmy krzyż".

Koło ZMW zorganizowało pogadankę na temat osiągnięć współczesnej medycyny. Wiele pytań dotyczyło sprawy przeszczepiania ludzkich organów, szczególnie serca.

Herbatka przy muzyce dla miejscowej młodzieży. Dzieci szkoły podstawowej opowiadały wrażenia z pobytu na kolonii w Gdańsku.

W dniu tym klub był zamknięty. Klubowa, pani Dudzińska, zachorowała, przebywa w szpitalu.

Wieczór literacki — „Dni okupacji". Czytanie wierszy i prozy, śpiewanie piosenek z filmu „Zakazane piosenki".

„Słuchamy nowych przebojów muzycznych". Nagrania z magnetofonu.

Wykład: „Kary dla przestępców nieletnich". Wykład wygłosiła pani prokurator Pytel. 32 osoby.

Malarstwo abstrakcyjne. Omawianie malarzy abstrakcjonistów. Szkicowanie aostrakcyjne, dobór kolorów (kolory pochodne, ciepłe, zimne, zgaszone).

Przeprowadzono rozgrywki szachowe. Wyłoniono trzech najlepszych. Ci z kolei będą walczyć o pierwsze miejsce, zostanie wyłoniony mistrz Wilamowa.

Ten dzień był bardzo pamiętny. Odbyły się uroczystości dożynki. Na wstępie uroczystości zostały wygłoszone przemówienia przewodniczącego GRN w Wilamowie Cz. Karolaka i sklepowego Waldemara Wawrzyniaka. Na zakończenie zabawa ludowa. Około 500 osób.

MIECZYSŁAWA WALCZAK

„Demoniczny nadkabaret" Witkacego

„Ja wybierając los swój wybrałem szaleństwo"
(T. Miciński)

Stanisław Ignacy Witkiewicz odrzucał koncepcję te atru naturalistycznego, nie odpowiadał mu także symbo listyczny. Jego teatr określa się mianem „teatru okrucieństwa". Sceniczne postacie Witkacego poruszają się jak w narkotycznym transie. Bohaterowie jego dramatów to postacie rzeczywi ste, tkwiące we współczesności, ale wprowadzone przez autora w nieokreślony czas działają w absurdalnych sytuacjach przez co stają się typami ponadczaso wymi, pozbawionymi podłoża historycznego i społecznego. Są to ludzie bezsilni wobec natężenia swych na miętności. Ich postępowanie przeczy wszelkiej logice i zdrowemu rozsądkowi. Popa dają w stan dziwnego obłędu, a ich halucynacje i sen ne widzenia mieszają się z rzeczywistym działaniem. Witkacy kreślił swe postacie z całą świadomością. Skazani na poszukiwanie Dziwności Istnienia stwarza ją pewien rodzaj happeningu, mającego na celu zniesienie podziału między życiem a sztuką, działają na zasadzie „teatru w teatrze". Świadomość tej teatralności prowadzi do celowego poszu kiwania istoty postępowania. Ich wspólną cechą jest nuda, nienasycenie, samotność i zwątpienie. Wyznają sobie miłość i natychmiast dokonują zdrady, popadają w stan erotycznej ekstazy i obłędu. Mordują się wzajemnie i popełniają samobójstwa po to, aby za chwilę „zmartwychwstać" podobnie jak aktor po skończonej roli.

Wszelkie absurdalne i sprzeczne zdarzenia miesząc się na zasadzie życiowego prawdopodobieństwa prowadzą do podkreślenia absurdalności życia. Witkacy drwi z widza. W „Bziku Tropikalnym" Nieznajomy pozwala się otruć, a następnie zastrzelić, aby za chwilę oświadczyć zgromadzonym, że znudziła mu się dotychczasowa rola i teraz będzie grać inną. Tatiana z „Nowego Wyzwolenia" z góry uprzedza że wszystko co będzie się działo na scenie jest komedią zaaranżowaną przez nią samą.

Widz w takiej sytuacji czuje się zdezorientowany, nie wie czy traktować wydarzenie sceniczne serio, czy też uważać wszystko za absurdalną zabawę lub dom wariatów.

Trudno znaleźć receptę na sceniczną realizację sztuk Witkacego. Istnieje wiele koncepcji i pomysłów, ale nie tak łatwo orzec, która z nich najtrafniej oddaje pra wdziwy klimat i charakter. Reżyser i scenograf — Jerzy Grzegorzewski zmontował spektakl tak, aby widz miał wrażenie, że śni dziwny, pełen marzeń i absurdalnych wydarzeń sen. Niecodzienny bieg wypadków podkreśla jeszcze specyficzna barwa, kształt i ruch sceniczny.

Część pierwsza — „Bzik tropikalny" toczy się na tle scenograficznej bieli. Wszystko jest białe: tło, sprzęty, przedmioty, kostiumy.

W tej „bieli działają określone u Witkacego podobnie jak w komedii dell'arte stałe typy. Jest typowa Hetera — Ellinor Golders (**Alicja Zomer**) znudzona, kapryśna, nienasycona, żądna bezustannych kontaktów erotycznych, uwodząca wszystkich, oplatająca ich siatką zdrad i miłosnych obietnic. Nieznajomy (**Andrzej Głoskowski**) pozornie tylko podporządkowany Heterze z całą świadomością gra do pewnego czasu rolę jej ofiary, by potem „zmartwychwstać" i mocą swego sprytu i fantazji tworzyć inną rzeczywistość. Jest Matrona — Berta Brzechajło (**Danuta Kłopocka**) nieszczęśliwa matka kochająca swego syna fanatyczną miłością i nie mogąca się pogodzić z faktem, że może go zabrać inna kobieta. Dziewczątko — Lily Redelief (**Ewa Mirowska**) pełna nienawiści, ale i wyrachowania. Jej męskim odpowiednikiem jest Jack Brzechajło (**Andrzej Herder**) bez pamięci zakochany w Heterze. Jest typ cwaniaka Ryszard Golders (**Jan Tesarz**) podejrzanego aferzysty i kombinatora. Dalej ognista Malajka — Georginia Fray (**Bożena Miefiodow**) typ południowej kurtyzany, drapieżnej, pełnej erotyzmu; i Den Malaj (**Krzysztof Różycki**). Tę galerię typów dopełniają Wojciech Brzechajło (**Sławomir Misiurewicz**) i Tom Redelief (**Maciek Małek**) właściciele firm handlowych, pełni sprytu i energii życiowej.

„Bzik tropikalny" zawiera ślady egzotycznych wspomnień Witkacego z pobytu w Australii i jego malajskiej wyprawy z prof. Malinowskim.

Część druga — „Nowe Wyzwolenie" jest polemiką z twórcą „Wyzwolenia" Wyspiańskim. W „Nowym Wyzwoleniu" miejsce bezsilnego mickiewiczowskiego Konrada zajmuje szekspirowski Ryszard III, który po okreslonym czasie odbywania tortur wraz z rozmawiającym obok towarzyszem zasiada do wspólnego posiłku. Miejsce Erynii zajmują płatni mordercy, a potem sześciu drabów. O ile „Wyzwolenie" jest pełne romantycznego tragizmu, o tyle „Nowe Wyzwolenie" cechuje humor z gatunku „l'humour noir".

I tutaj podobnie jak w „Bziku tropikalnym" występują ściśle określone witkacowskie typy. Tatiana (**Danuta Kłopocka**) — typ Hetery. Joanna Wężymordowa (**Alina Kulikówna**) — dawna Kokota, obecnie nieszczęśliwa matka, poświęcająca swe życie dla syna Florestana. Florestan Wężymord (**Krzysztof Różycki**) — pospolity Bubek, grafoman, i pragmatysta, wierzący w wielkość swego talentu. Król Ryszard III (**Sławomir Misiurewicz**) — Tytan, zaplątany w bieg akcji trwającej w nieznanej mu epoce, bezsilny wobec aktualnych wydarzeń, zapatrzony w „poezję grobów". Morderca I (**Andrzej Herder**) i Morderca II (**Maciej Małek**) — to ludzie bezdusznie i bezmyślnie pełniący swą powinność. Jest jeszcze gromada bezimiennych drabów z narzędziami do tortur, na czele których stoi Ktoś Nieznajomy (**Andrzej Głoskowski**), zwiastun nowego ładu i porządku.

Aktorzy są na ogół świadomi swej podwójnej roli: animatora i kukiełki, nie zawsze jednak postępują w myśl tego założenia, przez co stają się czasami niekonsekwentni w działaniu i mieszają te obie role.

Oglądając drugą część spektaklu ma się wrażenie, że była ona montowana w pośpiechu i przypadkowo z czego wynika jej niedopracowanie. Jest to szczególnie rażące w porównaniu z częścią pierwszą, która stanowi zamkniętą i zakończoną całość.

Dyskusyjne jest także połączenie tych dwóch sztuk mających ze sobą niewiele wspólnego a taka przypadkowość przeszkadza we właściwym odbiorze spektaklu.

Jan Tesarz, Alicja Zomer i Andrzej Głoskowski w „Demonicznym Nadkabarecie" St. Witkiewicza

Fot. Fr. Myszkowski

Teatr 7.15. „Demoniczny Nadkabaret" — Stanisław Ignacy Witkiewicz. Reżyseria i scenografia — Jerzy Grzegorzewski. Asystent reżysera — Krzysztof Różycki. Premiera 24 kwietnia 1969 r.

TP OBIEKTYW

Saga północna Centkiewiczów

Tak się złożyło, że nie pisałem jeszcze nigdy w tej rubryce o cyklicznym programie Aleksandra Małachowskiego „Spotkanie z pisarzem". Nie znaczy to, że tego programu nie staram się regularnie oglądać, i że go wysoko nie cenię.

Pozornie z punktu widzenia widowiskowego Małachowski i jego kolejni partnerzy mają do pokonania nie lada trudność. Jest to bowiem program statyczny, rozgrywany przy sakramentalnym stoliku. Rozmowa, nic więcej. Fakt, że odbywa się w gabinecie pisarza, czy w domu Związku Literatów Polskich w Oborach, ma znaczenie tylko w sensie tła, scenerii. Pozostaje „goła" rozmowa, bez żadnych efektów wizualnych.

A przecież rozmowy Małachowskiego z pisarzami z reguły nie nużą, nie są nudne. Przeciwnie, wciągają, angażują widza w interesujące rozważania intelektualne, nie skażone żadną reżyserią, czy ułożonymi z góry chwytami. Wykięta, oczywiście, jest wszelka kartka z notatkami (ten grzech popełnia nawet tak rutynowana prezenterka, jaką jest Irena Dziedzic).

Zarówno Małachowski, jak i jego interlokutorzy nie zezują nigdy w kartkę. W atmosferze, jaką wytworzyły programy Małachowskiego, byłby to po prostu shocking. Nikt też nie recytuje wyuczonej poprzednio kwestii. I pytania i odpowiedzi rodzą się w naszej (telewidzów) obecności. I to jest pierwsze źródło sukcesu.

A drugie? Drugie, stanowi fakt, że zapraszani do programu pisarze mają istotnie coś do powiedzenia, a Małachowski umie „to coś" znakomicie z nich wyciągać. Jest świetnym prowokatorem do intymnych zwierzeń. Nie ma przy tym kompleksów, rozmowy przeprowadza z pozycji równorzędnego partnera. Jednocześnie sam trzyma się dyskretnie w cieniu, całe zainteresowanie widzów kierując na swego rozmówcę.

Jakaż to rzadkość w naszej telewizji taka dyskretność! Poczynając od spikerek zarówno warszawskich, jak i z ośrodków regionalnych), a kończąc na redaktorach prowadzących ważne programy publicystyczne, wszyscy prawie mają widzowi do zaoferowania przede wszystkim siebie. Nie temat jest najważniejszy, nie poziom programu, ale podobanie się za wszelką cenę publiczności. Stąd te wszystkie kokieteryjne usmiechy, minoderia, stała gotowość do schlebiania publiczności.

Małachowski wolny jest od tej słabości, co daje mu z miejsca handicap. „Spotkanie z pisarzem" jest spotkaniem telewidzów z pisarzem, a nie Małachowskiego z telewidzami.

Spotkania takie są ciekawe i pożyteczne. Za przykład posłużyć może ostatnia rozmowa przed kamerami z Aliną i Czesławem Centkiewiczami. Książki pisarskiego małżeństwa, związane z tematyką polarną, należą do tych najbardziej czytanych w naszym kraju. Łączny nakład 3 milionów egzemplarzy mówi sam za siebie. Badaniu źródeł tego sukcesu poświęcił Małachowski rozmowę z Centkiewiczami.

Wywiad swój rozpoczął zresztą od pytania, w jaki to sposób realizuje się owo współautorstwo. Pani Alina i pan Czesław omówili w odpowiedzi technikę swej współpracy, ale właściwie cały program krył w sobie odpowiedź na to pierwsze kluczowe pytanie postawione przez Małachowskiego. Wypowiedzi obojga małżonków tchnęły bowiem taką jednomyślnością i zharmonizowaniem, iż trudno się dziwić, że i praca razem idzie im tak sprawnie. Bywało, że w najnaturalniejszy sposób Centkiewiczowie wpadali sobie w tracie rozmowy w słowo, kontynuując i rozwijając przerwaną współmałżonkowi myśl.

Zaryzykowałbym stwierdzenie, że w „Spotkaniu z pisarzem" Centkiewiczowie unaocznili nam jak bliskie sobie nawzajem są ich przemyślenia i wzorce moralne, które chcieliby za pośrednictwem słowa pisanego przekazać swoim czytelnikom. Problematyka moralna jest naturalną konsekwencją wyboru środowiska, w którym rozgrywają się książki Centkiewiczów. W mroźnej rzeczywistości polarnej natura staje się codziennym egzaminatorem charakteru ludzkiego.

W trudnych warunkach bytowania człowieka na setkach mil niezamieszkałych białych przestrzeni załamują się jednostki słabe moralnie, triumfuje wytrwałość, odwaga, zręczność i to, co Francuzi nazywają esprit d'équipe, czemu w pewnym sensie odpowiada nasze pojęcie: koleżeństwo. Z tej szkoły życia, jaką stanowią tereny podbiegunowe, wychodzą piękne, godne naśladowania charaktery, jak chociażby Nansen. Ci zaś, którzy nie zdali egzaminu, jak niektórzy członkowie wyprawy Nobilego, żałośni i skompromitowani stanowią wzorzec negatywny, ostrzeżenie.

Piękne i humanistyczne treści zawiera saga północna Centkiewiczów. Pewne odbicie tego piękna stanowiła rozmowa z autorami przeprowadzona przed kamerami telewizyjnymi przez Aleksandra Małachowskiego. Obejrzenie i wysłuchanie takiego programu dodaje człowiekowi otuchy w jego codziennych starciach z problemami życia. Czuje się on przy tym wzbogacony o jedno, lecz jakże wartościowe doznanie.

Władysław Orłowski

EWA NURCZYŃSKA

Film i medycyna

W końcu maja odbywał się w Łodzi II Ogólnopolski Przegląd Naukowych Filmów Medycznych, którego organizatorami byli: Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej, Akademia Medyczna w Łodzi i Miejski Zarząd Kin. Zrodzona przed kilku laty w Łodzi inicjatywa przeobraziła się już w imprezę stałą, która jest jeszcze jednym wymownym świadectwem prężności i rangi ośrodków naukowych naszego miasta.

Przegląd ten ma oczywiście charakter bardzo specjalistyczny, stąd trudno mówić o szerszej znajomości spraw z nim związanych, jednakże dla wszystkich adresatów, którymi są przedstawiciele służby zdrowia posiada bardzo istotne znaczenie. Jest znakomitą okazją poznania naukowego i dydaktycznego dorobku wielu placówek medycznych naszego kraju, gdyż prezentowane na Przeglądzie filmy zrealizowane zostały głównie przez Akademie Medyczne i Instytuty oraz Zakład Produkcji Naukowych Filmów Medycznych przy PZWL. Filmy te są zatem bardzo swoistymi, na gruncie polskim jeszcze niestety dość rzadkimi, dokumentami pracy badawczej i dydaktycznej lekarzy.

Rolę tego Przeglądu szczególnie wysoko cenić trzeba w obliczu przeprowadzanej reformy studiów medycznych. Wobec ogromu stale rozrastającej się wiedzy reforma ta stała się koniecznością. W jej podstawowych założeniach istnieją tendencje do usuwania pewnych nieprzydatnych historycznych treści, próby dużego uelastycznienia programów nauczania, a także poszukiwania nowych metod dydaktycznych, w których środki audiowizualne muszą pełnić jedną z zasadniczych funkcji.

Łódzki Przegląd Naukowych Filmów Medycznych odgrywa niejako podwójną rolę — z jednej strony jest prezentacją tych — mimo wszystko jeszcze nowych u nas form pracy badawczej i dydaktycznej, z drugiej ujawnia wszystkie trudności i kłopoty związane z realizacją i rozpowszechnianiem tych filmów. Staje się zatem niejako sygnałem dla poszukiwań najwłaściwszych form rozwiązania tego złożonego problemu.

Przedstawiciele naukowego świata medycznego i lekarze praktycy oceniali prezentowane na przeglądzie filmy bardzo wysoko.

Nikt dziś już nie neguje roli filmu w procesie dydaktyki akademickiej, problem przesunął się daleko poza okres dyskusji, pozostał jednak cały szereg spraw związanych z tym zagadnieniem i nadal nie rozwiązanych.

Zrezygnowano obecnie z produkcji naukowych filmów medycznych, w wytwórniach profesjonalnych filmy realizują w PZWL i w poszczególnych placówkach medycznych lekarze, co tu dużo ukrywać, hobbyści. Stąd bardzo wysoka wartość badawcza i dydaktyczna filmu nie zawsze idzie w parze z jego stanem technicznym. Ogromnym hamulcem rozwoju tych form działalności jest słabe zaplecze techniczne, brak taśm, kamer, a także projektorów. Rodzi się zatem ogromna potrzeba stworzenia ośrodka koordynującego produkcję filmów medycznych, zaznaczyć tu trzeba, iż jest to już dziś zaleceniem Światowej Organizacji Zdrowia. Koordynacja programowa, merytoryczna oraz sprawa zorganizowania bazy technicznej to problemy podstawowe. Główne trudności rozwiązane zapewne zostaną za cztery lata, gdy w katowickim Ośrodku Postępu Technicznego powstanie techniczna baza usługowa dla całego krajowego świata nauki i techniki.

Sprawą nadal nie rozwiązaną do końca pozostaje problem filmowego przygotowania lekarzy zajmujących się tą działalnością. Szkoleniem grup naukowców zajmuje się obecnie PWSTiF, lecz organizowane przez nią na własny koszt kursy nie są w stanie rozwiązać całokształtu problemu. Sądzić należy, że w przyszłości sprawę tę przejmie również Ośrodek Postępu Technicznego, gdyż potrzeba kontynuowania kursów stoi poza wszelką dyskusją.

Łódzki przegląd ujawnił bardzo smutną prawdę. Wiele filmów na nim prezentowanych, bardzo cennych nie ma żadnych szans rozpowszechniania. Dotyczy to filmów powstających z inicjatywy i w ramach własnych środków w poszczególnych Akademiach Medycznych i instytutach. Brak jest w tej chwili jakichkolwiek aktów normatywnych regulujących ten problem. Istnieje potrzeba by szczególnie wysoko ocenione filmy mogły być przekazywane do innych placówek, i by uczelnie je realizujące mogły otrzymywać ekwiwalenty finansowe na regenerację filmowego budżetu. Trudno bowiem założyć, iż każda Akademia Medyczna zdoła doczekać się kadry lekarzy wykwalifikowanej również filmowo. Łączy się z tym problem następny.

Naukowe filmy medyczne realizują dziś w Polsce hobbyści. Nie została u nas rozwiązana kwestia zasadnicza — filmu naukowego nie traktuje się w naszym kraju jako pracy naukowej. Na całym świecie uznano już film za swoistą publikację naukową, przy pomocy filmu można się już nawet doktoryzować. Film stał się ważkim narzędziem badania naukowego. Dowodem tego niech będzie choćby informacja o tym, iż w istniejącej przy Światowym Stowarzyszeniu Filmu Naukowego Sekcji Badawczej filmy medyczne stanowią 80 proc.

II Przegląd Naukowych Filmów Medycznych koncentrował oczywiście uwagę na filmie badawczym i dydaktycznym przystosowanym do potrzeb uczelni medycznych i średniego szkolnictwa medycznego. Pamiętać jednak należy, iż istnieje jeszcze ogromne społeczne zamówienie na medyczne filmy popularnonaukowe, koncentrujące się głównie na problemach oświaty sanitarnej. Zapotrzebowanie to ogromne i wzrastające, toteż ten rodzaj filmów stanowi osobny rozdział zagadnień z cyklu film i medycyna.

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

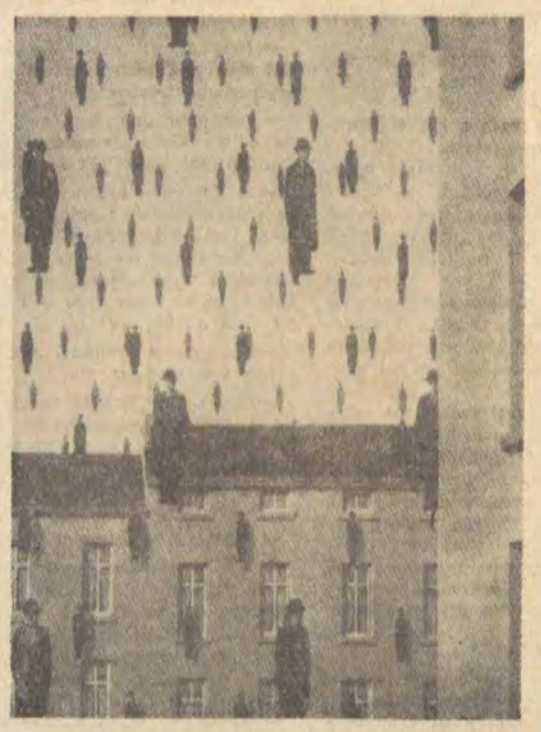

DZIWNY ŚWIAT MAGRITTE'A

Belgijski malarz René Magritte (ur. 1898) zmarły dwa lata temu w Brukseli w wieku 69 lat, które go dwie wystawy w Londynie zorganizowano niedawno, uchodzi za jednego z najwybitniejszych przedstawicieli surrealizmu w malarstwie, prawdziwego mistrza tego kierunku. Jego wiernym uczniem, zdaniem krytyków sztuki, jest również Belg, starszy o rok Paul Delvaux, o którym wzmiankowaliśmy niedawno i którego wystawa obrazów odbywa się aktualnie w Paryżu.

Magritte urodził się w Belgii. Krótki czas, w latach 1927—1930 mieszkał z żoną Georgette w jednej z miejscowości podparyskich. Zrażony kłótniami artystów grupujących się wokół André Bretona, Magritte wraca do rodzinnej Belgii.

Świat malarski Magritte'a dziwny i tajemniczy, to jakby absurdalny sen, choć absurdalności tej towarzyszy zawsze jasność i trzeźwość spojrzenia twórcy, zaskakująca, specyficzna logika w przedstawieniu tematu. Magritte z dokładnością niemal fotograficzną maluje postacie i przedmioty znane nam dobrze z codziennego życia, lecz ukazuje je w niesamowitych, dziwacznych układach, gdzie rzeczy i ludzie zdają się nie podlegać ani siłom ciążenia, ani elementowi czasu. Oto bochenki chleba szybują na kształt obłoków po niebie, skamieniałe postacie tkwią w skalistym pejzażu, dęty instrument płonie na plaży, mężczyźni ubrani w ciemne jesionki, z meloni kami na głowach opadają jak deszcz na miasto, ludzka stopa zmienia się w but, skała w ptaka, kobieta w rybę.

Formalne zagadnienia sztuki interesowały go niewiele. Malował zwyczajnie, tradycyjnym sposobem, choć świat jaki przed stawiał był pełen dziwności i tajemniczości. „Przyglądając się przedmiotowi — mówił — aby ustalić jego znaczenie, nie myśli się już więcej o nim, ale o problemach jakie on stwarza". I dalej: „Nie należy mówić o tajemniczości, trzeba dać się przez nią porwać". Obrazy Magritte'a znajdują się w wielu galeriach świata, w Brukseli, Londynie, Filadelfii i Nowym Jorku, ich cena jest znaczna, a ostatnio wzrosła ona niemal dwukrotnie.

METALOPLASTYKA WIKTORA CIGALA

Kiedy znany grafik i malarz radziecki Wiktor Cigal kilka lat temu zajął się sztuką dekoracyjną zdawało się, że jest to tylko zabawa, wypoczynek od innych poważniejszych i bardziej ambitnych prac. Jednakże „zabawa" ta przyniosła znakomite rezultaty. Cigal tworzy z metalu drobne przedmioty codziennego użytku jak podstawki do kwiatów, świeczniki, figurki z drutu i taśmy aluminiowej, sylwetki zwierząt, ryb, ptaków wykonane z miedzianej blachy. Przedmioty te cechuje niezwykła lekkość,

poczucie humoru, wysokie walory artystyczne. Niektóre z tych wyrobów pojawiają się w salonach sprzedaży przedmiotów artystycznych w większej ilości kopii i są natychmiast wykupywane. Niestety większość dzieł Wiktora Jefimowicza Cigala pozostaje wciąż w jednym tylko egzemplarzu.

Metaloplastyka Cigala wystawiana była w Polsce i w Jugosławii i cieszyła się wielkim uznaniem i podziwem zwiedzających.

Obecnie artysta urządził wystawę w Centralnym Domu Literatów w Moskwie.

WYSTAWA MALARSKA JACQUESA GRANGE'A

W jednej z galerii paryskich odbywa się wystawa malarska Jacques'a Grange'a. Współpracując on z dziennikami, jest autorem komiksów, ale — jak to podkreśla recenzent z „l'Humanite" — nigdy nie zapomina o tym, że z powołania jest prawdziwym artystą.

Na wystawie znalazły się akwarele i gwasze. Najczęstszym tematem obrazów Jacquesa Grange'a są drzewa, kwiaty, owoce, lasy i sady. Kolory jakimi się malarz posługuje są najczęściej żywe i dają wrażenie pogody i radości. Grange stosuje często plamy, skróty, kontrasty, rytmiczne rozłożenie elementów.

CZTERNASTOLETNI WIOLONCZELISTA

Czternastoletni Chilijczyk Francisco Pino-Kokisch otrzymał jednogłośnie przyznaną, pierwszą nagrodę na konkursie Konserwatorium Paryskiego w dziale wiolonczeli. Był on najmłodszym uczestnikiem konkursu.

„ZMIENIĆ KOLOR KOTA"

Francuski rysownik Trez posłał do swego wydawcy w Nowym Jorku książkę dla dzieci. Była to historyjka o przygodach białego kotka, który pewnego dnia spotyka czarnego kotka i zaprzyjaźnia się z nim. Rysownik otrzymał wkrótce depeszę od nowojorskiego wydawcy: „Koty czarne i białe symbolami segregacji rasowej w USA. Sprzedaż niemożliwa na Południu. Zmienić kolor kota".

PORTUGALSKA ANTOLOGIA WIERSZY O LORCE

Portugalskie wydawnictwo „Nova Limitada" wydało opracowaną przez poetę Eugenio de Andrada antologię wierszy o hiszpańskim poecie, zamordowanym bestialsko przez faszystów w roku 1936, Garcii Lorce.

Na wstępie antologii widnieje w tłumaczeniu na język portugalski poemat Pabla Nerudy pt. „Oda do Federica Garcii Lorki'.

UROCZYSTOŚCI PUSZKINOWSKIE

W dniach od 30.V. do 6.VI. br. odbył się w Związku Radzieckim III Wszechzwiązkowy Puszkinowski Festiwal Poezji, który w tym roku zbiegł się z uroczystymi obchodami 170-letniej rocznicy urodzin Puszkina. Z tej okazji prasa radziecka poświęca wiele miejsca artykułom o życiu i twórczości wielkiego poety. Pisma „Litieraturnaja gazieta" i „Litieraturnaja Rossija" wydały wspólną publikację pt. „Puszkinskij Prazdnik". Publikacja przynosi artykuły, opowiadania, wiersze poświęcone Puszkinowi.

„Madame Recamier" Davida i „Ma dame Recamier" Magritte'a.

„NIECH PAN NAM POWIE, PANIE CENDRARS"

Młody szwajcarski pisarz Hugues Richard od wielu lat zajmował się opracowaniem wielkiej bibliografii dotyczącej Blaise Cendrarsa (1887—1961), wybitnego poety i prozaika francuskiego z pochodzenia Szwajcara (właściwe nazwisko Frédéric Louis Sauser).

Hugues Richard w ciągu swej wieloletniej pracy zebrał wszystko co dotyczyło Cendrarsa: cytaty, wywiady, artykuły, sądy pisarza na przeróżne tematy. W końcu dysponował odpowiednią ilością materiału, który wydał drukiem pt. „Dites-nous, Monsieur Cendrars" (Niech pan nam powie, panie Cendrars). Zakres spraw, które interesowały Cendrarsa jest ogromny. Interesowali go m. in. Rilke, Anatol France, Picasso, Gide, Charles Chaplin. Wypowiadał się też pisarz na najprzeróżniejsze tematy: o gastronomii i Akademii Goncourtów, o kinie, wojnie, Ameryce Łacińskiej i reklamie...

Ponad sto tekstów jakie zaprezentował Richard pozwala poznać Blaise Cendrarsa znacznie lepiej niż znano go dotychczas, nawet w kręgu historyków literatury, zwłaszcza, że w książce „Dites-nous, Monsieur Cendrars" znalazły się również teksty dotąd niepublikowane.

Z książki wynika jasno, że Cendrars to ciekawa, pełna erudycji umysłowość o oryginalnych poglądach, a wypowiedzi pisarza cechuje świeżość sformułowań, dowcip i trafność spostrzeżeń.

spektakle tygodnia

	Liczba spektakli	widzów	proc.
TEATR WIELKI			
„Dalsi"	1	1260	100
„Gorda"	1	1260	100
„Ruslan i Ludmiła"	1	1260	100
„Bajaderka"	1	1260	100
„Dwie nowele" i „Poemat"	1	1260	100
„Romans gdański"	1	1260	100
NOWY			
„Dziś do ciebie przyjść nie mogę"	2	1460	100
„Czerwone pantofelki"	3	2100	100
MAŁA SALA			
„Szkoła kobiet"	3	480	80
„Bliski nieznajomy"	2	320	100
„Księżyc świeci nieszczęśliwym"	1	200	100
POWSZECHNY			
„Czarna komedia"	1	400	80
„Kawior i kaszanka"	1	520	87
„Radziwiłł Panie Kochanku"	2	1320	100
im. JARACZA			
„Ania z Zielonego Wzgórza"	3	1650	70
7.15			
„Paryżanin"	4	1320	80
OPERETKA			
„Hrabina Marica"	6	5446	87
FILHARMONIA			
Koncerty symfoniczne	2	700	50

ANTONI CZECHOW

Mój regulamin domowy

Rano, kiedy stoję przed lustrem zawiązując krawat, do pokoju wchodzą grzecznіutko teściowa, żona i szwagierka. Ustawiają się w karnym szeregu i życzą mi uniżenie „dzień dobry!" Odpowiadam lekkim kiwnięciem głowy i wygłaszam przemówienie, w którym objaśniam, kto jest panem domu.

— Otrzymujecie, ode mnie, nikczemnice, wikt, opierunek oraz pouczenia — mówię. — Wbijam w wasze tępe łby rozum i rozsądek. Dlatego musicie mnie uwielbiać, drżeć przede mną, zachwycać się moją twórczością i nie przekraczać ani o milimetr granicy posłuszeństwa... Do stu diabłów, inaczej wam pokażę... I tak dalej.

Po wysłuchaniu przemówienia moje domownice opuszczają pokój i przystępują do swoich zajęć. Teściowa i żona biegają z moimi artykułami po redakcjach, szwagierka sporządza czystopisy artykułów, opowiadań i esejów. Gdy jakiś wydawca skąpi mi pieniążków, płacąc tyle, co starczy tylko na śniadania, wówczas wysyłam teściową po honoraria, karmiąc ją przedtem przez trzy dni wyłącznie surowym mięsem. Wpajam w nią straszliwą nienawiść do stanu wydawców. Z rozwścieczoną czerwoną twarzą, nie posiadając się ze złości, teściowa chodzi po honoraria. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się, by wróciła do domu z pustymi rękami. Do jej obowiązków należy również ochrona mojej osoby przed natręctwem wierzycieli. Gdy jest ich tylu, że zagrażają mojemu spokojowi, daję teściowej injekcję wścieklizny i ustawiam ją przed drzwiami. Nikt nie ma odwagi zbliżyć się.

Podczas obiadu, kiedy spożywam barszczyk i gęsią pieczeń, moja żona siedzi przy fortepianie i gra mi coś z „Boccaccio" lub z „Pięknej Heleny", a teściowa i szwagierka tańczą czaczuczę wokół stołu. Tej, która mi się najbardziej przypochlebia, obiecuję tom moich dzieł z własnoręczną dedykacją autora. Ale nie muszę dotrzymywać słowa, ponieważ uszczęśliwiona zapowiedzianym darem niewiasta popełni jeszcze tego samego dnia coś takiego, co wywołuje moją złość i tym samym pozbawia ją prawa do wynagrodzenia.

Po obiedzie odpoczywam na tapczanie roztaczając wokół woń cygara. Szwagierka czyta z moich dzieł, teściowa i żona słuchają. Są one zobowiązane do wykrzykników: „Jakie to doskonałe Cudowne! Co za głębia myśli! Jakie to morze uczuć! Zachwycające!"

Gdy zaczynam drzemać, siadają i rozmawiają szeptem, ale tak, bym mógł je słyszeć. „Co za talent — nie, co za nadzwyczajny talent! Ile ludzkość traci na tym, że nie stara się dość go zrozumieć! Jakeśmy, szaraczki, szczęśliwe, że mieszkamy z takim geniuszem pod jednym dachem!"

Kiedy zasypiam, u mego wezgłowia staje służka z wachlarzem i odgania muchy. Budząc się wołam: „Herbaty, niedorajdy!" A herbata jest już gotowa, podają ją z niskim ukłonem: „Niechaj wam dobrze smakuje, ojczulku-dobroczyńco! Tu konfitura, a tu ciasteczka, wysiliłyśmy się jak najbardziej..."

Po herbacie zazwyczaj wyznaczam kary za wykroczenia przeciwko regulaminowi domowemu. Jeśli nie było wykroczeń, wyznaczam kary a conto przyszłych. Wysokość kar odpowiada wadze zbrodni. Gdy jestem niezadowolony z czystopisu, z czaczuczy lub konfitury, winowajczyni musi wykuć na pamięć kilka scen dramatycznych, skakać na jednej nodze przez wszystkie pokoje oraz pójść po honorarium do jakiejś gazety, w której nigdy niczego nie opublikowałem. W przypadku nieposłuszeństwa lub oznak niezadowolenia zamykam winowajczynię w rupieciarni lub zmuszam do wąchania amoniaku. Jeśli zaś teściowa zaczyna rozrabiać, posyłam po policjanta oraz stróża.

W nocy, kiedy śpię, moje trzy domownice patrolują pokoje, uważając, żeby złodzieje nie ukradli moich dzieł.

(przełożył B.)

Bez strachu

CZŁOWIEK PRAWDZIWY

Przystąpił do mnie mój dy brodacz i wesoło mnie pozdrowił. Ujął mnie poufale za rękaw i szedł ze mną mówiąc, że najlepszy kolega to Jurek. Mówił jeszcze to i owo o Jurku, a ja musiałem potwierdzać lub zaprzeczać. Wpatrywałem się w wąsatą i brodatą twarz w okularach. „Kto to jest na Boga, czego on chce i co to za Jurek, w dodatku najlepszy?" Dopiero gdy mnie porzucił i usiadłem w domu na krześle uprzytomniłem sobie, że był to Jan, Jan zmieniony nie do poznania, bowiem przed pół rokiem widziałem go bez brody, bez wąsów, i bez okularów — nazywałwtedy Jurka łotrem. Więc ów sprzed pół roku, bez brody, bez wąsów, bez okularów przeklinający Jurka był Janem, a ten z brodą, z wąsami, w okularach, chwalący Jurka, jest Janem. Wtedy był, teraz jest — prosta sprawa, zmienił wygląd i pogląd na Jurka, też prosta sprawa. Kiedy zechcę w tej chwili, gdy siedzę sam, w mieszkaniu i pragnę pomyśleć o Janie mogę myśleć o Janie sprzed pół roku, bądź o Janie aktualnym, przed chwilą pożegnanym — historia, bądź drobny fragment rozwijającej się właśnie rzeczywistości... Wyrzucałem sobie, że nie poznałem Jana na ulicy — mógłbym mu zadać kilkadziesiąt pytań — sporządzić inwentarz jego poglądów aktualnych na szereg spraw i zestawić ten inwentarz mniemań i ocen z inwentarzem sprzed pół roku. Gdyby wszystkie poglądy i uczucia uległy zmianom tak skrajnym jak pogląd na Jurka, jak sposób przeżywania Jurka i odczuwania go, można by chyba mówić o innej osobowości niż osobowość dawnego Jana o osobowości spojonej innymi więziami uczuciowymi, innymi sądami, o osobowości inaczej w społeczeństwie ułożonej, inaczej przystosowanej. Inny jest Jan obecny, od Jana dawnego i przegapiłem możliwość gruntownego zbadania tych różnic. Może zresztą niewiele straciłem. Jan zapewne dotarł już do swojego mieszkania — być może usiadł przed lustrem i zdjął okulary, być może pochwyciwszy nożyce i brzytwę obcina właśnie wąsy i brodę. A z każdym ściętym włosem, zmienia pogląd na jakąś drobną sprawę, a z każdą uciętą kępą włosów zmienia pogląd na jakąś wielką sprawę, a z każdym draśnięciem skóry zmienia wielkie, lub małe uczucie. Może oglądany na ulicy brodacz jest już nieaktualny zewnętrznie i wewnętrznie. Nie ma więc Jana stałego, jest tylko taki, czy inny zapamiętany wizerunek psychiczny i fizyczny Jana z pewnej chwili — prawdziwego w tej tylko chwili. Czy jednak prawda Jana nie jest chwilami ulotna, a chwilami gruntowna? W pewnych okresach słowa Jana są ciężkie jak kamienie, w innych ulotne jak mydlane bańki. W pewnych okresach Jan wykonał podziwu godne dzieła, w innych robił rzeczy złe, nieudane. Myślę, że Jan najprawdziwszy, to Jan, który wypracował najgodniejsze swe dzieła — być może ten Jan jest jedynie prawdziwy. Praca, twórczość jest miarą i znakiem rozpoznawczym prawdy człowieka. Im człowiek bardziej twórczy, tym bardziej prawdziwy. Wraz z wygasaniem produktywności, gaśnie i prawda człowieka. Prawdziwi są ci którzy tworzą.

BERNARD SZTAJNERT

L. JACKSON

Halo czy POLICJA?

Gdyby nie Susu, nie poznałybyśmy nigdy tego człowieka. Nie darzyłyśmy zaufaniem naszych sąsiadów. Dom był wielki i ciemny, mieszkali tu dziwni ludzie. Lecz ten stary budynek miał także zalety: obszerne pokoje, wspaniały widok na rzekę i ogród wzdłuż brzegu wody. Tam właśnie po raz pierwszy zauważyłyśmy pana Van.

Pewnej niedzieli po południu Gertruda i ja spacerowałyśmy z Susu po ogrodzie. Był pogodny dzień październikowy. Susu zabawiała się szczypaniem trawy. Nagle coś zaabsorbowało jej uwagę. Szarpnęła smyczą i pobiegła przez łąkę do bocznej drogi, gdzie jakiś starszy pan siedział w niezwykłym fotelu na kółkach.

Fotel był z misternie kutego żelaza, wyłożony zniszczonym pluszem. Przypominał ruchomy tron — a człowiek w nim siedzący miał dostojny wygląd monarchy, co niezwykle kontrastowało z jego zniszczonym ubraniem.

Ku naszemu zdziwieniu to właśnie tak zainteresowało Susu. Kotka z żywą radością obwąchiwała nieznajomego, który pochylił się i głaskał jej futerko.

— Poznaje mnie — wyjaśnił zwracając się do nas. — Mówił gardłowym akcentem, w którym wyczuwało się coś niemieckiego. — Byłem kotem w poprzednim istnieniu.

Spojrzałam zdumiona na Gertrudę lecz ta przyjęła niesamowite oświadczenie z zupełnym spokojem.

Nie był to mężczyzna przystojny, na pewno, z tym swoim zaostrzonym podbródkiem, uszami zbyt wysoko osadzonymi i oczami jak dwie wąskie szparki. Gdy się uśmiechał — był jeszcze mniej pociągający. Inaczej jednak myślała Susu. Z rozkoszą ocierała się o jego nogi, a on drapał ją delikatnie za uszami.

W czasie rozmowy dowiedziałyśmy się, że pan Van i jego towarzysz — zatrudniony przy popychaniu fotela — zamieszkali od kilku dni w obszernym apartamencie na tym samym piętrze, obok nas. — „Dlaczego dwie osoby zajęły tyle pokoi — myślałam obserwując nieznajomych. Towarzysz pana Van, człowiek niski i krępy, o nieprzyjemnym wejrzeniu, wydał mi się dziwny. Stojąc za krzesłem przez cały czas rozmowy trwał w głębokim milczeniu. Może był niemy?

Gdy wróciłyśmy do domu, Gertruda zapytała: — Jak ci się podobają nasi nowi sąsiedzi?

— Wolę koty przed wcieleniem się ich w postacie ludzi— roześmiałam się.

— A jednak to jest człowiek interesujący — zauważyła Gertruda.

Pewnego wieczoru, gdy piłyśmy kawę, a Susu myła się w świetle lampy, spostrzegłam, że nagle kotka znieruchomiała. Z podniesioną w górze łapką nadsłuchiwała. Wtem z jej gardła wydobył się jakiś niezwykły dźwięk. W chwilę później podreptała ku drzwiom wejściowym i usiadła tam niecierpliwie wyczekując.

Przeszły jeszcze dwie minuty nim zadźwięczał dzwonek. Otworzyłam drzwi i bez entuzjazmu zobaczyłam przed sobą pana Van w fotelu. Susu skoczyła mu na kolana, co było u niej niezwykłe. Van zwrócił ku mnie swój nieprzyjemny uśmiech. — Dobry wieczór. Rozpakowałem kufry i znalazłem coś, co chciałbym paniom ofiarować.

Uprzejmym gestem podał mi obrazek. Musiałam go teraz zaprosić do mieszkania. Gertruda podała gościowi szklankę gorącej kawy.

— Chciałbym, abyście panie nauczyły mojego człowieka jak się parzy kawę — westchnął Van. — W Holandii pijemy kawę bardzo mocną, z odrobiną, cykorii. Ale ten człowiek — to prawdziwy cymbał. Nie zniósłbym go nawet przez dwie minuty, gdybym mógł sobie sam poradzić.

Susu ocierała łebek o guziki jego kamizelki, a on uśmiechał się zadowolony pokazując małe, kwadratowe zęby.

— Ma pan szczególne szczęście do kotów? — powiedziałam.

— To jest zupełnie naturalne. Mogę czytać ich myśli, a one czytają moje. Czy wiecie, że koty odgadują ludzkie myśli? Koty mogą także podsunąć nam różne pomysły. Nawet ostrzegają przed niepomyślnymi wydarzeniami.

— Chyba tak jest — potwierdziła moja siostra. Susu wiedziała, że pan idzie do nas i czekała jeszcze przed dzwonkiem.

— To jest zupełnie zrozumiałe. Moja babka miała kota, którego uwielbiała. Po śmierci wracała do nas co wieczór aby go popieścić. Zawsze o godzinie dziewiątej kot siadał przed jej fotelem i ocierał się mrucząc z zadowoleniem. A przecież na fotelu nie widziałyśmy nikogo.

Po tej wizycie przezywałam pana Van „Widmem Babki" ponieważ także i on przychodził do nas zawsze o godzinie dziewiątej wieczorem. Tłumaczył się zwykle: — Tak tęskniłem za moim skarbem — a Susu rzucała się ku niemu z radością.

Obrazek który mi podarował, nie był w moim guście. Przedstawiał trzy osoby: mężczyznę w cylindrze i fraku, kobietę w krynolinie i kota z podniesionym ogonem. Powiesiłam go w kuchni.

Pewnego dnia Gertruda wróciła z pracy bardzo przejęta.— Ten obrazek jest podpisany — rzekła — odszukałam nazwisko w bibliotece. August Edouart był słynnym malarzem, obrazek ma przeszło sto lat. Posiada zapewne dużą wartość.

— Wątpię bardzo — roześmiałam się. — Takie figurki wycinałyśmy w przedszkolu. — Aby jednak uspokoić moją siostrę, zaniosłam obrazek do antykwariusza, który potwierdził, że to autentyczny Edouart. Ocenił obrazek na 150 dolarów.

Słysząc to, Gertruda rzekła: — Jeżeli powiedział, że wart jest 150, to sam wziąłby za niego co najmniej 250 dolarów. Myślę, że należy zwrócić obrazek panu Van. Biedak nie zdaje sobie sprawy, czego się pozbył.

— Tak — zgodziłam się — może go sprzedać i kupić sobie lepszy fotel.

Wieczorem o godzinie 9 Susu zaczęła mruczeć i prężyć się. — Nadchodzi „Widmo Babki" — powiedziałam. I rzeczywiście za chwilę rozległ się dzwonek.

— Panie Van — zaczęłam gdy już Gertruda nalała mu kawy — czy pan sobie przypomina ten obrazek, który pan nam podarował? Stwierdziłyśmy, że posiada dużą wartość i chcemy go panu zwrócić.

— Wiem o tym, że jest wartościowy — oznajmił. — Czyżbym go podarował, gdyby tak nie było?

— Czy pan się zna na antykach?

— Moja droga panienko, mam ich w mieszkaniu co najmniej za milion dolarów. Zapraszam panie na jutro wieczór. Pozbędę się cymbała i wypijemy filiżankę dobrej holenderskiej kawy. Zabierzcie także mój skarb, znajdzie wiele przedmiotów do zbadania.

—Susu będzie bardzo szczęśliwa — wtrąciła Gertruda. — Zamykamy ją teraz w mieszkaniu z powodu zimna.

— Zróbcie dla niej trykotową kołderkę i bierzcie ją na spacer także zimą. Ja sam często owijam się kołdrą i udaję wieczorem do ogrodu. To dobrze robi na bezsenność.

— Susu nie cierpi na bezsenność — poinformowałam pana Van. — Śpi dwadzieścia godzin na dobę.

Nasz sąsiad spojrzał na mnie z ubolewaniem. — Pani się myli. Koty nigdy nie śpią. Jest to jeden z ich sekretów.

Gdy Van wyszedł, zwróciłam się do Gertrudy: — Zdaje się, że brakuje mu piątej klepki.

— Jest tylko trochę ekscentryczny — usprawiedliwiała go Gertruda.

— Jakie bzdury opowiada na temat kotów!

— Zaczynam wierzyć, że to są rzeczy prawdziwe — oświadczyła Gertruda.

— A kim jest ten typek, który z nim mieszka? Służący, pielęgniarz? Widzę go czasem w windzie, nigdy nic nie mówi. Van traktuje go jak niewolnika. Może źle zrobimy, jeśli tam jutro pójdziemy. To jakaś niejasna sprawa.

Jednak poszłyśmy. Mieszkanie Holendra było przeładowane meblami i różnymi drobiazgami. Usiadłyśmy na kanapie, z której służący uprzątnął obrazy i tkaniny.

— A teraz wynoś się, cymbale — krzyknął Van. — Napij się piwa, masz! — To mówiąc rzucił służącemu zmiętego dolara.

Van pokazywał nam swe skarby popychając fotel na kółkach. — Jestem z zawodu antykwariuszem — objaśniał. — Przed moim kalectwem prowadziłem sklep. Potem zdarzył się ten okropny wypadek i teraz handluję w domu. Pracownicy muzeów znają mnie, a kolekcjonerzy przybywają tu z całej Ameryki. Frank załatwia sprawunki. Jest doskonałym pomocnikiem antykwariusza — silny w muskułach, słaby na umyśle. To jest cymbał, lecz bez niego czułbym się zagubiony. O, patrzcie, mój skarb robi odkrycia!

Susu obwąchiwała srebrną filiżankę z dwoma uchwytami. — To jest filiżanka z XVII wieku zrobiona dla pewnej kobiety z Salem. Mówili o niej, że była czarownicą. Mój skarb wie o tym!

Zakaszlałam i zmieniłam temat rozmowy. — Jak dawno był ten wypadek?

— Pięć lat temu, z winy tego idioty. Jechaliśmy na wystawę. Cymbał przejechał pod czerwonym światłem z szybkością stu kilometrów i uderzył w ciężarowe auto wypełnione żwirem.

— Czy Frank był ranny?

— Tylko w głowę. Operowali mu czaszkę przez sześć godzin. Odtąd jest kopnięty. — To mówiąc: Holender stuknął się palcem w czoło.

— Gdzie pan znalazł ten dziwny fotel na kółkach? — zapytałam. — Waży chyba ze sto kilogramów.

— To jest dzieło sztuki, fotel zrobiony przez pewnego milionera w 1872 roku. Plusz jest oryginalny. A teraz wracajmy do celu waszej wizyty. Chciałbym, aby panie coś uczyniły dla mnie. — To mówiąc przysunął się z fotelem do biurka.

— Mam tutaj testament, który wczoraj spisałem. Potrzebni mi są świadkowie. Pozostawiam kilka przedmiotów muzeom, reszta antyków ma być sprzedana. Z uzyskanej w ten sposób sumy powstanie fundacja.

— A Frank? — zapytała Gertruda.

— Ani grosza dla cymbała. Ale zanim podpiszemy dokument muszę tu jeszcze coś dodać. Jak się nazywa mój skarb?

Milczałyśmy przez chwilę, wreszcie odpowiedziałam:

— Zarejestrowane imię Susu brzmi: Superior Suda ze Sjamu.

— Świetnie! Wpiszemy do testamentu Fundacja Superior Suda.

— A jaki będzie cel tej fundacji? — zapytałam.

Pan Van obdarzył mnie przychylnym uśmiechem. — Będzie służyła poszukiwaniom naukowym. Chcę, aby uczeni badali inteligencję i reakcje kotów domowych — i aby następnie wykorzystali swe odkrycia w udoskonalaniu umysłu ludzkiego. Moje drogie, nie mógłbym lepiej rozporządzić swym majątkiem.

Podpisałyśmy testament. Czy można było inaczej postąpić? W kilka dni później udałyśmy się na wakacje. Jesienią wyjeżdżałyśmy zwykle na południe. Pana Van już nie zobaczyłyśmy.

Wróciwszy po miesiącu do domu, spotkałyśmy w windzie Franka. Po raz pierwszy odezwał się! — Zabrali go — oznajmił.

— Co pan powiedział? — zawołałyśmy równocześnie.

— Zabrali go. — Głos człowieka był ostry i przypominał krakanie.

— Co się stało panu Van? — zapytała Gertruda.

— Zwariował. Przyjechała rodzina z Pensylwanii i zabrała go do domu. Potem umieścili go w zakładzie dla obłąkanych.

— Czy to możliwe? — głos Gertrudy drżał.

— A gdzie jego żbiory?

— Krewni kazali mi oczyścić mieszkanie z tego wszystkiego.

— Przecież to są rzeczy o dużej wartości!

— Ależ skąd, graty! Opowiadał wszystkim bajki o muzeach i kolekcjonerach. — Frank stuknął się w głowę. — Był kopnięty, zawsze był kopnięty.

W mieszkaniu zaczęłyśmy komentować wydarzenie. — Mówiłam ci, że Holendrowi brakuje klepki.

— Szkoda mi go — powiedziała Gertruda. — Był ciekawym człowiekiem.

Wieczorem po kolacji wzięłyśmy się do opróżniania walizek. Nagle Susu zaczęła mruczeć — i podreptała do drzwi.

Spojrzałam na zegarek. — Jest godzina 9. Susu przypomina sobie pana Van — rzekłam do Gertrudy.

Lecz na tym się nie skończyło. Prawie każdego wieczoru o godzinie 9 Susu zachowywała się tak samo. Po jakimś czasie zapomni — tłumaczyła Gertruda.

Susu jednak nie zapominała. Przeszło kilka miesięcy. Z nadejściem wiosny lody na rzece zaczęły puszczać. Pewnego wieczoru zabrałyśmy Susu do ogrodu nad rzeką. Nagle kotka wyrwała smycz i pobiegła naprzód. Poszłyśmy za nią. Gdy doszła do brzegu kamiennej tamy, zaczęła jakby kogoś witać.

— Znów to samo — powiedziałam. — Dlaczego to robi?

— Przypomnij sobie co mówił Van o kotach i zjawach — wyszeptała Gertruda.

— Patrz, można by przysiąc, że ociera się o czyjeś nogi. Chciałabym, żeby już przestała.

— A ja chciałabym wiedzieć — rzekła powoli Gertruda, czy Van jest naprawdę w szpitalu... Bo może on jest tam. — Gertruda wskazała na wodę. — Czuję, że Van nie żyje — i Susu wie o tym.

— To byłoby okropne. Jak to sobie wyobrażasz?

— Myślę, że Frank zepchnął go z kamiennego nabrzeża razem z fotelem. Może to było późnym wieczorem, gdy nasz sąsiad nie mógł usnąć i chciał zażyć świeżego powietrza.

— Przestań, Gertrudo!

— Nie rozumiesz? Mroźny wieczór, wzdłuż rzeki pustka. Van owinięty kołdrami. Ten ciężki fotel szybko poszedł na dno. Woda zamarznięta — i kaleka, który nie może się bronić. To straszne!

— Nie mogę w to uwierzyć.

— Teraz Frank jest wolny, ma drogocenne antyki. Nikt go o nic nie pyta. Może to sprzedać i ułożyć sobie wygodne życie.

— A ci krewni z Pensylwanii?

— Jestem pewna, że Van nie miał krewnych.

— Więc co teraz mamy robić — zapytałam — zawiadomić policję? Powiedzieć, że ten człowiek został zabity, ponieważ nasza kotka spotyka jego widmo? Wzięliby nas za wariatki.

I naprawdę zaczęłam się niepokoić o Gertrudę aż do dnia, gdy przeczytałam w miejscowej gazecie krótką wzmiankę. Nie wierzyłam własnym oczom! — Słuchaj — krzyknęłam do Gertrudy — woda wyrzuciła ciało jakiegoś człowieka na plaży, przy ujściu rzeki. Według opinii lekarza sądowego ciało człowieka było pod wodą przez kilka miesięcy z powodu oblodzenia rzeki. Topielec miał około sześćdziesięciu lat, był sparaliżowany. Nikt odpowiadający temu opisowi nie został zgłoszony do Urzędu Osób Zaginionych.

Gertruda milczała. — Nagle podniosła się i zbliżyła do telefonu. — Teraz — powiedziała drżącym głosem — policja musi znaleźć antyczny fotel przy kamiennym nabrzeżu. — Czy mogłabyś zadzwonić? Nie mogę rozróżnić numerów.

Opr. A. S.

Lewym okiem

JAK PORZĄDEK, TO PORZĄDEK!

Czytałem niedawno w „Paris Match" garść wrażeń dziennikarki francuskiej z pobytu w Warszawie. Wrażenia były sympatyczne i zdecydowanie pozytywne, rozśmieszyło mnie w nich natomiast jedno, jakże prawdziwe spostrzeżenie. Oto paryżanka pisze, że w luksusowej kawiarni hotelu Europejskiego „zetknęła się po raz pierwszy z zabawnym tutejszym obyczajem: w momencie dużego ruchu wchodzą na salę kobiety w fartuchach i odkurzaczami zaczynają energicznie jeździć pomiędzy nogami gęsto siedzących gości".

Trudno powiedzieć o jakimkolwiek łódzkim lokalu, że jest luksusowy — oczywiście, jeśli nie ma się na myśli kategorii wywieszonej w oknie i związanego z nią poziomu cen. Ale coś wspólnego ze stolicą mamy: jeżdżą odkurzacze! To nawet nie jest takie bardzo złe, tyle że trochę śmieszne. Ot, taki malutki, ale własny folklor.

Gorzej, kiedy w „Magdzie" pomiędzy tłumem kupujących uwija się niezbyt życzliwie dla świata usposobiona niewiasta i wymachuje szczotką do zamiatania, wzniecając tumany kurzu na rozłożone wokół specjały. Co prawda kurz byłby jeszcze większy, gdyby sprzątająca nie skropiła przedtem podłogi. Skropiła ją, nogi klientek też, ale kropla od kropli padła daleko, a kurz jest wszędzie.

Narzekaliśmy nieraz, że dozorcy nie polewają ulic wodą, zamiatając na sucho. To prawda, to wciąż aktualne. Znam jednak i takie odcinki ulic, którymi w okresie intensywnej pracy dozorcy przejść w ogóle nie można. Energiczny funkcjonariusz zamaszyście przerzuca hydrant z lewa w prawo i z prawa w lewo, nie zważając na rozbiegających się w popłochu przechodniów, ani na to, że ciągnący się za nim wąż na całej długości ma liczne dziury i tryska z nich efektownymi fontannami wody. Dziurki są ze wszystkich stron, fontanny biją we wszystkich kierunkach, przy każdym podciągnięciu węża kierunki się zmieniają i lepiej albo przejść na drugą stronę ulicy, albo stanąć, przeczekać i spóźnić się do pracy. Co nie przeszkadza, że o sto kroków dalej natkniemy się na obłoki kurzu świadczące o tym, że albo miejscowy dozorca preferuje metody działania na sucho, albo z jego hydrantu zostały już same tylko dziury i nie warto go w ogóle wyciągać ze skrytki pod schodami.

Wszystko to są oczywiście drobiazgi, które odrobinę wyolbrzymiam. Właśnie takie drobiazgi rzucają się przede wszystkim innym w oczy, gdy krążę się po ulicach miast, widzianych po raz pierwszy. W berlińskiej dworcowej restauracji, starej, bynajmniej nie pierwszej klasy, przeznaczonej na pośpieszne przełknięcie czegokolwiek, pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem, była biegnąca wzdłuż ściany ruchoma taśma. Gość po zjedzeniu stawia brudne naczynia na tej taśmie i natychmiast odjeżdżają do zmywalni, znikają z oczu, nie psują apetytu następnym gościom. W naszych od podstaw budowanych Balatonach i Rarytasach jakoś o tym nie pomyślano, a to prościutka rzecz. Pomyślano za to o lądowaniu helikopterów na dachu Grand Hotelu w Warszawie i odpowiednio ten dach zaprojektowano. Helikoptery jednak nie latają, a sterty brudnych talerzy piętrzą się na wszystkich stołach i półkach wszystkich samoobsługowych barów. Pracownice, których zadaniem jest sprzątanie talerzy, nie są gorsze od grających w lokalach zespołów muzycznych. Też robią długie przerwy. A jak nie daj Boże gdzieś coś o tym wspomnieć, to cały odpowiedni aparat odpowiednio zareaguje: chcecie porządku? Proszę bardzo!

I w sam środek tłumu próżniaków, żarłoków wjadą odkurzacze, węże gumowe zaczną beztrosko sikać na każdego, ścierki rozmażą wodę pod nogami klientów w Delikatesach. Proszę bardzo. Jak porządek, to porządek! — ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (red. naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Halina Bekowa (redaktor techniczny), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda poezja i proza), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Włodzimierz Stokowski (z-ca red.naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 1359 VI B-4.